



LEANDRA LOGAN



***Święty Mikołaj z
synem***

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Ta kształtna blondynka na pewno potrzebuje Świętego Mikołaja, zawyrokował Ron Coleman, gdy tylko ją zobaczył w sklepie z zabawkami Grace Brothers. Nowo przybyła najpierw uważnie rozejrzała się po całym wnętrzu, a następnie, nie przejmując się koszykiem, popłynęła w stronę centralnej części sklepu. Ron obserwował ją z prawdziwą przyjemnością z cofniętej nieco ekspozycji bieguna północnego. Tak, ta kobieta musiała mieć wspaniałą figurę, chociaż okrywała ją teraz obszerna kurtka z kołnierzem. Wystarczyło spojrzeć na jej nogi w legginsach i już się człowiekowi robiło cieplej. Na pewno też znalazłaby zatrudnienie w Grace Brothers, ale raczej w sezonie letnim, kiedy mogłaby prezentować biust, leżąc we wdzięcznej pozie na materacu. Biust miałby działać na wyobraźnię tatusiów, a materac, oczywiście, przyciągać pociechy.

Ron musiał przyznać, że blondynka rozbudziła jego ciekawość. Z dziennikarską wprawą zaczął analizować jej zachowanie. Pomagało mu w tym doświadczenie podróżnika, człowieka, który zjeździł niemal cały świat. Zastanawiał się na przykład, dlaczego kobieta nie daje się oczarować świątecznemu wystrojowi sklepu i tak uparcie wpatruje się w bożonarodzeniowy katalog firmy. Domyślał się, że chodzi jej przede wszystkim o jego dziadka, Emmetta Windoma, który w tym roku pełnił funkcję Świętego Mikołaja w firmie Grace Brothers.

Ciekawe, co tym razem staruszek zbroił? - pomyślał Ron. Do tej pory sklep nie miał z Emmettem większych problemów. Oczywiście,

zdarzały się drobne zażalenia, wynikające z tego, że dziadek nie traktował niczego poważnie, ale zawsze dawało się to jakoś załagodzić. Jednak teraz sprawa wyglądała chyba nieco inaczej. Tak przynajmniej można było wnosić z miny tej blondynki.

Ron przyjechał do Twin Cities na Święto Dziękczynienia po to, żeby zająć się osiemdziesięciolatkiem, kiedy rodzice wyjadą na urlop do Arizony. Bawił się świetnie, ponieważ dziadek ciągał go, po co ciekawszych restauracjach, a raz nawet namówił na wyprawę do wesołego miasteczka. Jednak ten pomysł ze Świętym Mikołajem nie należał do najszcześniejszych. Emmett hulał sobie po mieście w towarzystwie ponętnych elfów, a Ron musiał się zajmować jego sprawami w sklepie.

Kobieta dotarła już do wielkiego tronu ustawionego przy biegunie północnym. Zatrzymała się i rzuciła Ronowi gniewne spojrzenie. Udawał, że jej nie zauważa.

- Przepraszam pana - powiedziała głosem, który wskazywał, że to on zaraz będzie przepraszał.

Miała miły, silny głos, który zdołał się przebić przez dźwięki „Jingle Bells”. Ron chrząknął, spojrzał na wielki kieszonkowy czasomierz Emmetta, a następnie włożył go do kieszeni.

- Słucham panią.

Miał nadzieję, że z bliska okaże się na przykład starsza, niż myślał, bardziej szpetna, że będzie miała jakąś brodawkę, może bliznę albo przynajmniej zbyt silny makijaż. Nic z tego. Z bliska wyglądała równie dobrze, a może nawet lepiej niż z daleka. Zwłaszcza jej oczy lśniły dziwnym blaskiem. Był w nich gniew i desperacja.

- Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, kto jest odpowiedzialny za Świętego Mikołaja? - zapytała.

Ron udawał, że się namyśla.

- Chyba tylko Pan Bóg - powiedział w końcu. Blondynka zacisnęła dłoń w pięści ze złości.

- Pan tutaj pracuje, prawda?

Ron rzucił okiem w stronę sąsiedniego stoiska, gdzie przebywał jego kierownik, Stanley Bickel. Pomyślał, że sam jest dosyć porządnie ubrany i od biedy może uchodzić za pracownika sklepu. Spróbuje odsunąć nieszczęście, które zawisło nad głową biednego Emmetta.

- Opiekuję się Świętym Mikołajem - powiedział o tyleż zgodnie z prawdą, co wymijająco. - Nazywam się Ron Coleman, a pani?

- Jeanne Trent - odparła takim tonem, jakby nie miało to większego znaczenia.

- Miło mi panią poznać. Czy na zewnątrz już pada? Kobieta spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jeszcze nie. Przyszłam właśnie...

- To dziwne - przerwał jej. - Dziś rano zapowiadano śnieg po południu. No i komu teraz można wierzyć?

Miał nadzieję, że ją zagada. Niewielką jednak, ponieważ cała postawa blondynki zdradzała, że zjawiała się w sklepie, by załatwić jakąś konkretną sprawę.

- Proszę pana, nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o pogodzie - oświadczyła. - Chciałam złożyć zażalenie na waszego Świętego Mikołaja.

Bezwiednie ścisnęła broszurę Grace Brothers, która zmieniła się teraz w papierową kulę.

- Proszę powiedzieć, co się stało. - Ron próbował swojego uspokajającego tonu.

- On mnie zrujnował! Puścił z torbami! Będzie musiał za to zapłacić...

Ron rozejrzył się z niepokojem po sklepie. Kilka osób już odwróciło się w ich stronę.

- Cii! - Ron zeskoczył z tronu i podszedł do pięknej blondynki, oddalając się jednocześnie od bieguna. Stali teraz oboje pod bramą obwieszoną soplami.

- Nie będę cicho! - krzyknęła, a jej policzki natychmiast nabrały kolorów.

- Proszę posłuchać, Emmett od lat nie zrujnował żadnej kobiety - zaczął Ron.

- A skąd pan może wiedzieć?!

To był oczywiście bluff. Tak naprawdę Emmett mógł zrobić wszystko. Mógł zrujnować nawet Rockefellera, a potem z niewinną miną powiedzieć, że mu przykro.

- Ale co, tak naprawdę, zrobił nasz Mikołaj? Policzki kobiety poczerwieniały jeszcze bardziej.

- Coś niewyobrażalnego! Coś potwornego!

A to stary drań, pomyślał Ron. Przyjrzał się raz jeszcze blondynce. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Bardziej nadawała się dla niego niż dla Emmetta. Ale czy rzeczywiście Emmett chciał ją poderwać? Mimo wszystko nie wydawało się to prawdopodobne.

- Dobrze, czy w końcu zajmie się pan tą sprawą, czy nie?! Tym razem Ron spojrzał w stronę Stanley Bickela.

Tak, szef jak zwykle nadstawiał uszu.

- Czy mogłaby pani mówić nieco ciszej? - spytał.

Kobieta zbliżyła się do niego jeszcze o krok.

- A co z tym waszym sloganem, że klient ma zawsze rację?! No, co pan na to?!

Ron zrobił niewinną minę.

- Jestem przekonany, że w wielu sprawach ma pani rację.

Zabrzmiało to protekcjonalnie i mało śmiesznie, tak że blondynka spojrzała na niego z politowaniem.

- Jest pan taki sam, jak inni sprzedawcy - powiedziała z przekąsem. - Pełen pustego wdzięku.

Ron poczuł się zraniony. Pomijając to, że nigdy nie miał nic wspólnego z zawodem sprzedawcy, zawsze wydawało mu się, że jego wdzięk nie jest pusty. Co więcej, kobiety, które znał, dawały mu to odczuć. Teraz postanowił się wysilić, żeby przekonać blondynkę, że myli się w ocenie jego osoby. Użył do tego swojego słynnego spojrzenia. Tego, z którego musiał korzystać w najbardziej decydujących momentach zarówno życia prywatnego, jak i dziennikarskiej kariery.

- Czy uważa pani, że jest pani sprawiedliwa, pani Trent? - upomniał ją swoim aksamitnym głosem.

- Ja?! Sprawiedliwa?! - Jeanne podniosła głos jeszcze o ton.

Cała rozmowa wydawała jej się absurdalna. Nie miała pojęcia ani jak się dalej potoczy, ani co z niej wyniknie. Czuła jedynie, że ten sprzedawca chce ją zbić z pantałyku i że zależy mu na tym, żeby nie złożyła zażalenia. Żeby to osiągnąć, gotów był nawet z nią flirtować.

Zresztą nie bez powodzenia. Zaślepiona wściekłością Jeanne po raz pierwszy zauważyła, że facet jest diabelnie przystojny i patrzy na nią jakoś tak dziwnie, że ciarki zaczynają jej chodzić po plecach.

Przyjrzała mu się uważniej. Miał ładną twarz o ciekawych rysach. Pomyślała, że trochę przypomina wilka. Jeanne, która zajmowała się fotografią, potrafiła docenić walory tego typu urody.

Ron stwierdził, że udało mu się osiągnąć efekt, o który chodziło. W innej sytuacji pewnie by skorzystał z okazji, żeby nawiązać flirt, ale teraz musiał ratować skórę Emmetta, który już pewnie przybył tylnym wyjściem do sklepu i niczego nieświadomy przebiera się w pomieszczeniach dla personelu.

- Wciąż nie mam pojęcia, o co pani chodzi - powiedział Ron bardziej rzeczowym tonem. - Nie mogę pani pomóc, dopóki się tego nie dowiem.

Jeanne najpierw zacisnęła usta, a następnie powiedziała cicho, lecz groźnie:

- Wie pan, co Święty Mikołaj obiecał wczoraj mojemu synowi?

- Że wsadzi panią do więzienia - próbował żartować mocno już przestraszony Ron.

- Że spełni wszystkie życzenia z listu, który syn do niego napisał! - wypaliła. - I co pan na to?! Czy to w porządku?!

- No cóż... - Ron nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Jasne, że nie! - wyręczyła go blondynka. - Nie wolno robić takich rzeczy. Myślałam, że wasi Mikołajowie mają wcześniej jakieś szkolenie czy coś takiego.

- Tak, uczy się ich, żeby nie podrywali ładnych mam. - Ulga w głosie Rona była tak wyraźna, że natychmiast zwróciła uwagę blondynki.

- Co takiego? Pan myślał, że chciałam się poskarżyć na zaloty?!

Ron nie miał wyjścia. Musiał skinąć głową. Jeanne Trent rozwinęła papierową kulę, którą trzymała w ręku, i spojrzała raz jeszcze na fotografię Mikołaja.

- Co prawda jest tutaj ucharakteryzowany, ale mógłby być raczej pańskim dziadkiem niż ojcem.

Trafiła! Na szczęście zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

- No tak, może przesadziłem - przyznał Ron. - Ale dla wielu mężczyzn byłaby pani łakomym kąskiem, zwłaszcza że nie ma pani obrączki.

„Łakomy kąsek” spąsował na twarzy.

- To nie pana sprawa, dlaczego nie noszę obrączki! - powiedziała. - A jeśli idzie o Mikołaja, to nawet go nie widziałam. Moja mama była wtedy z Tobym.

- A tak, właśnie. Więc o co chodzi?

- O te prezenty! - niemal wykrzyknęła kobieta. - Jestem pewna, że Federacja Konsumentów chętnie zainteresuje się sklepem, który obiecuje dzieciom podobne rzeczy! To przecież prawie szantaż.

Ron nie mógł się oprzeć pragnieniu, by jej dotknąć. Ścisnął tylko lekko jej ramię, jak zbyt kordialny sprzedawca. Jeanne natychmiast odskoczyła od niego na dobre pół metra.

- Oczywiście nie ma pani racji - powiedział Ron. - Grace Brothers to porządny sklep. Po co mielibyśmy się uciekać do podobnych metod?

- Jak wszyscy, chcecie zwiększyć sprzedaż - odparowała natychmiast. - Tyle że są to niedopuszczalne sposoby.

Ron zmarszczył brwi. W wiele rzeczy mógł wątpić, jeśli idzie o Emmetta, z jego zdrowiem psychicznym na czele, ale nie w jego uczciwość.

- Tak się składa, że nieźle znam naszego Mikołaja - zaczął. - Mogę panią zapewnić, że chciał dobrze. Sam nie wiem, może mu nie wyszło.

- Więc przyznaje pan, że mogło dojść do nadużycia - uczepiła się jego słów.

Ron podrapał się w brodę.

- Ja bym tego tak nie nazwał - stwierdził po chwili. - Po prostu stary chlapnął językiem. To wszystko.

- I co pan ma zamiar zrobić z tym chlapnięciem?

Nie miał pojęcia. Oczywiście, Stanley Bickel, który właśnie spacerował przy zamku z klocków lego, wiedziałby doskonale, co zrobić. Pewnie wylałby Emmetta i popsuł mu całą zabawę.

- Jestem gotów spełnić życzenia pani syna na własny koszt - oświadczył Ron, a następnie przeraził się własnych słów.

Co zrobi, jeśli chłopiec prosił o samolot albo nawet zwykłą ciężarówkę?

Jeanne spojrzała na niego z wyraźnym politowaniem.

- Nie musi się pan tak bać. Tobie ma tylko pięć lat.

- Uff. - Ron odetchnął z ulgą.

- Poza tym wcale nie chodzi mi o pieniądze - dodała zaraz kobieta.

- Myślałem, że właśnie o to... Że nie może sobie pani pozwolić...

Skinęła głową.

- To prawda, sama wychowuję syna i nie mam pieniędzy, żeby mu wszystko kupić - przyznała. - Nie chcę jednak nikogo zmuszać, żeby robił to za mnie. Wystarczy, że wasz Mikołaj przyjdzie jeszcze raz i odwoła to, co powiedział.

Ron aż klepnął się w czoło. Że też sam na to nie wpadł. Spojrzał na blondynkę. Wydała mu się teraz jeszcze bardziej inteligentna, czarująca i... piękna.

- To doskonale rozwiązanie - powiedział i natychmiast zapisał na kartce numer telefonu Emmetta. Następnie podał go blondynce. - Proszę zadzwonić pod ten numer. Wolałbym pominąć oficjalną drogę.

Jeanne schowała kartkę do torebki i po chwili wyjęła z niej swoją wizytówkę, którą wręczyła Ronowi.

- Czy to nie za dużo kłopotu? Mogłabym przyprowadzić Toby'ego tutaj pod koniec...

- Nie, nie! To żaden kłopot! - przerwał jej Ron.

Pomyślał sobie, że Emmett będzie wolał wybrać się do tej miłej blondynki, niż świecić oczami przed Bickelem. Jeanne zmierzyła go raz jeszcze spojrzeniem, a następnie jakby się rozluźniła i skinęła głową.

- Poza tym, mamy umowę z fotografem, który robi zdjęcia wszystkim dzieciom. - Ron wysunął ostateczny argument. - Nie chciałaby pani mieć drugiego zdjęcia?

- Nie chciałabym mieć nawet pierwszego... - zaczęła i widać było, że znowu zapragnęła powiedzieć kilka gorzkich słów.

Ron nie mógł na to pozwolić. Bał się, że Emmett pojawi się za chwilę w sklepie.

- Tak, rozumiem. Nie wszyscy rodzice chcą mieć takie zdjęcia...

- Nie o to chodzi - przerwała mu. Ron spojrzał na zegarek.

- Bardzo przepraszam, ale muszę skontrolować sprzedawców. Mam pani telefon, więc jeszcze będziemy mogli o tym porozmawiać, dobrze?

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby chciała podjąć dyskusję, ale się rozmyśliła i skinęła głową.

- Dobrze.

Pożegnała się z nim i wyszła. Po chwili z zaplecza wyszedł, jak zawsze uśmiechnięty, Emmett.

- Cześć, Ronaldzie - zagrzymiał. - Miły mamy dzień, prawda?

Ron spojrział z urazą na dziadka, który pozbył się już makijażu i stroju Mikołaja. W tej chwili wyglądał bardziej na brytyjskiego arystokratę niż jakiegokolwiek świętego.

- Jak dla kogo - mruknął Ron, ale Emmett zdawał się tego nie słyszeć.

- Świetnie, świetnie - powtórzył. - Czy udało ci się może znaleźć mój czasomierz?

Ron podał mu „cebulę”. Emmett spojrział na nią z ukontentowaniem, a następnie schował do kieszeni, nie zważając na to, że właśnie podszedł do nich Stanley Bickel. Ron pomyślał, że będzie musiał przełożyć na później rozmowę z dziadkiem.

- No i jak ci poszło, Emmett? - spytał Bickel.

Wszyscy w sklepie wiedzieli, że Bickel szuka tylko wymówki, żeby wywalić Emmetta. Zatrudnił go najstarszy z braci Grace, nie zważając na to, że Bickel obiecał już tę pracę swojemu kuzynowi.

Wszyscy o tym wiedzieli, może tylko z wyjątkiem samego zainteresowanego, który nigdy nie przejmował się takimi drobiazgami.

- Świetnie, świetnie - powtórzył po raz kolejny i poklepał Bickela protekcyjnie po ramieniu, czego ten wprost nie znośił.

Ron pomyślał, że to jednak wielkie szczęście, że Bickel nie wziął udziału w rozmowie z Jeanne Trent. Jak do tej pory, było to jedyne zażalenie na Emmetta, jednak Ron nie wątpił, że Bickel zrobiłby z tego aferę.

- Powiedz, Ron, kim była ta blondyneczka, z którą rozmawiałeś? - spytał Emmett. - Widziałem was wcześniej, ale nie chciałem przeszkadzać.

- Znajoma - odparł krótko Ron. Emmett trącił go w bok.

- Ktoś z dawnych czasów, co? Ciekawe, czym się zajmuje.

Ron miał jeszcze w ręce wizytówkę Jeanne i teraz zerknął na nią dyskretnie. Znowu zrobiło mu się głupio.

- Jest fotografem - odparł. Bickel pokiwał głową.

- Właśnie miałem wrażenie, że to towarzyska rozmowa - powiedział.

- Dlatego nie chciałem wam przeszkadzać. W przyszłości spróbujcie jednak umawiać się poza godzinami pracy.

Zachęcony powodzeniem Ron postanowił pójść tym razem na całego:

- Ale ona chciała zamówić Mikołaja do swojego syna - powiedział.

- A, to co innego - zreflektował się Bickel. Emmett tymczasem chwycił wnuka za ramię.

- Chodźmy już, Ronaldzie - powiedział. - Muszę zjeść coś porządnego. Przez cały dzień noszę przy sobie tylko te cholerne cukierki.

Pożegnali się z szefem i wyszli. Bickel odprowadził ich jeszcze kawałek do drzwi.

- Dzisiaj nie chcę kurczaka - monologował dalej Emmett. - Zjem porządny stek z frytkami. Do diabła z tym cholesterolem.

Ron pokiwał w roztargnieniu głową.

- Dobrze, dziadku, po prostu nikomu nic nie powiemy i tyle - zawyrokował.

- Tyle razy prosiłem cię, żebyś nie mówił do mnie „dziadku”. To mnie postarza. Mam na imię Emmett i tyle.

- Dobrze, dobrze. Dokąd jedziemy?

- Proponuję Countryview - powiedział Emmett. - W ten sposób unikniemy korków w centrum. To jest na Country Road B2 - dodał po chwili, widząc roztargniony wzrok wnuka.

- A, tak - przypomniał sobie Ron.

Wyszli na parking, na którym wciąż znajdowało się sporo samochodów, a następnie odszukali wynajętego dwudrzwiowego plymoutha.

- No to gazu - zaczął poganiać Emmett, kiedy wsiedli do środka.

- Dobrze, dziadku.

- Skończ wreszcie z tym dziadkiem - rozgniewał się Emmett. - I powiedz, jak ci dzisiaj poszło?

- Tak sobie - mruknął Ron. - A tobie?

- Spotkałem jedną nie najgorszą - rozmarzył się Emmett.

- Niestety, zajęta. Ale czasami trafiają się niezłe sztuki.

- Myślałem, że zajmujesz się przede wszystkim dziećmi - rzucił naiwnie Ron.

- Ależ Ronaldzie! Przecież wiesz, że dzieci to jedynie przykrywka. Głównie interesują mnie mamusie. Zresztą ty też nie jesteś taki niewinny. Możesz oszukać Bickela, ale nie mnie. Dopiero poznałeś tę blondynkę i zrobiła na tobie duże wrażenie, prawda? Właśnie dlatego nie chciałem wam przeszkadzać.

Ronald wyjechał z parkingu i ruszył ostro przed siebie.

- Uch! Co za pęd! - wykrzyknął radośnie Emmett. - Musisz mi wszystko opowiedzieć o tym spotkaniu. Nie próbuj się wykrecać!

Ron spojrział z ukosa na dziadka.

- Jasne, że ci opowiem - wycedził przez zęby. - I nawet się nie waż mnie powstrzymywać.

Emmett uważał, że to tylko dzięki jego zdolnościom aktorskim udało im się dostać stolik w Countryview Steakhouse. Ron co prawda sądził, że

dziesięciodolarowy napiwek też zrobił swoje, ale nie chciał urazić ambicji dziadka. Cieszył się teraz ogniem na kominku i tym, że wewnątrz panowała znośna temperatura. Zadrżał wręcz na myśl o chłodzie panującym na zewnątrz. Mimo iż dużo podróżował, klimat Los Angeles, gdzie mieszkał na stałe, wydawał mu się najprzyjemniejszy i najbardziej mu odpowiadał.

- Trudno mi uwierzyć, że jesteś tym samym chłopakiem, który biegał na sanki tylko w bluzie i dżinsach - powiedział Emmett, obserwując go z niesmakiem. - Nie sądziłem, że wyrośniesz na takiego mięczaka.

Ron zadrżał ponownie.

- To kwestia przyzwyczajenia - wyjaśnił. - Przywykłem do cieplejszego klimatu.

Wciąż nie dawała mu spokoju historia z Jeanne Trent. Zauważył, że dwie starsze panie zerkają ciekawie w stronę ich stolika. Emmett wcale nie wyglądał na swój wiek i mógł podobać się kobietom. Zawsze udawało mu się je jakoś oczarować. Ron bał się, że teraz spróbuje swoich sztuczek z Jeanne i na przykład skłoni ją, żeby spełniła wszystkie życzenia syna.

Cholerny świat! Najwyższy czas porozmawiać o wszystkim z Emmettem. Ron wypił spory łyk whisky i otworzył usta.

- Czy nie wydaje ci się, Ronaldzie, że moglibyśmy zaprosić tę blondyneczkę na kawę? - uprzedził go Emmett.

W oczach Rona pojawił się strach.

- Nie, tylko nie to!

- Dobrze, zostawię ją wyłącznie dla ciebie - obiecał Emmett. -

Wystarczy mi to, co mam. Wiesz, to przebranie Mikołaja ma w sobie coś seksownego. Może kobiety marzą o tym, żeby mieć romans ze świętym...

- Będziemy musieli porozmawiać o tej pani - powiedział poważnie Ron.

- Jasne. Liczę na to, że mi opowiesz o wszystkim. - Emmett mrugnął do niego. - Oczywiście, jeśli do czegoś między wami dojdzie. Zresztą masz tyle wolnego czasu, że byłoby grzechem z niego nie skorzystać.

Ron wzruszył ramionami.

- Wiesz przecież, że mam pracę. Muszę przygotować rubrykę towarzyską dla „Clariona”. - Ron taktownie przemilczał to, że zajmowanie się Emmetem też pochłaniało sporo czasu i energii.

Starszy pan raz jeszcze mrugnął do niego.

- Ja też mam pracę, ale jakoś się tym nie przejmuję - stwierdził z wyższością.

- Właśnie, dziadku. Obawiam się, że powinieneś zrozumieć, iż ta praca to gratka. Wielu zrobiłoby dużo, żeby dostać podobną. Zwłaszcza w takim sklepie jak Grace Brothers.

Emmett pokręcił z dezaprobatą głową.

- Nigdy nie chciałem się czymś takim przejmować. Być może dlatego zająłem się sztuką, gdyż mam większą swobodę i brakuje szefa, który patrzy na ręce.

- W Grace Brothers Bickel stale ma cię na oku - powiedział z naciskiem Ron.

Tym razem Emmett tylko machnął ręką.

- Wiem o tym aż nazbyt dobrze! Wszyscy tańczą tak, jak on zagra. Będę musiał o tym pogadać z Wendellem i Arnoldem Grace'ami.

- Grace'owie mają mnóstwo różnych spraw na głowie. - Ron zaczął wyliczać: - Na przykład całą sieć pizzerii, a także sklepy z konfekcją.

- I co z tego?

- A to, że wolą zdać się na straszego, ale porządnego Bickela - stwierdził Ron. - Musisz się z tym pogodzić, jeśli chcesz zachować tę

pracę. Na szczęście wygląda na to, że nie dociera do niego twoja ironia. Myślę, że jest za głupi, żeby ją dostrzec, i bierze twoje komplementy za dobrą monetę.

Emmett ze zdziwieniem popatrzył na wnuka.

- Myślisz?

- Mhm.

- Dobra, nie będę się skarżył Grace'om. Ron z ulgą skinął głową.

- Świetnie. Zresztą prawdę mówiąc, to Bickel mógł się dzisiaj poskarżyć na ciebie. Bo jeśli idzie o tę blondynkę...

- Cieszę się, że przechodzisz do przyjemniejszych tematów - wpadł mu w słowo Emmett.

Ron przygwoździł, jak mu się zdawało, dziadka wzrokiem. To, że Emmett pozostał rumiany i wesoły, było jedynie czystym przypadkiem.

- To jest wciąż ten sam temat - powiedział. Emmett uśmiechnął się szeroko.

- Zatem słucham.

Ron opowiedział mu pokrótce historię Jeanne Trent, a Emmett słuchał i powoli rzedła mu mina. Nie stracił jednak do końca pogody ducha.

- Widzisz więc, dziadku - zakończył Ron - jeśli chcesz dalej pracować u Grace'ów, musisz zmienić nieco styl działania. Pamiętaj, do cholery, że nie jesteś prawdziwym świętym!

Emmett pokręcił głową.

- Nie mogę o tym pamiętać - stwierdził dosyć cierpko.

- Ale dlaczego?! - wykrzyknął Ron. - Dlaczego?!

- Ponieważ na tym polega moja metoda aktorska. Staram się wczuć w postać i wyciągnąć z tego ostateczne konsekwencje. Dlatego właśnie nie

mogę, jak chce ta pani, po prostu wszystkiego odwołać. Nie mogę, bo właśnie jestem Świętym Mikołajem. - Emmett wzniosł zakrzywiony palec do góry. - Tak, jak byłem Hamletem, Otellem czy profesorem Higginsem!

Ron rozejrzał się dokoła i syknął. Restauracja była wypełniona po brzegi i niektórzy klienci już zaczęli zerkać w ich stronę.

- Ale przecież obiecałeś temu dziecku, że spełnisz wszystkie jego życzenia - jęknął Ron.

Emmett rozłożył ręce.

- Widocznie wydawało mi się, że mu szczególnie na tym zależy - stwierdził. - Nie przejmuj się, jakoś to będzie.

Ron pokiwał głową.

- Tak, tak, jakoś to będzie - przedrzeźniał dziadka. - Będę musiał kupić te wszystkie zabawki dzieciakowi i tak się to skończy!

- A niby dlaczego ty miałbyś je kupić? - Starszy pan zamrugał oczami, robiąc minę niewiniątka.

- Ponieważ Jeanne Trent nie może sobie na to pozwolić! - odparł dobitnie Ron. - Jeśli nie załatwisz tej sprawy, ona poskarży się Bickelowi i wyleją cię z pracy.

Emmett zamknął oczy i zamyślił się na chwilę. Kiedy je otworzył, widać było, że podjął decyzję.

- Nie, Święty Mikołaj nie idzie na ustępstwa! - Emmett zachichotał radośnie. - Nawet jeśli w grę wchodzi piękna kobieta.

- Ależ dziadku! - raz jeszcze jęknął Ron.

Jednak Emmett znalazł się nagle w swoim żywiole. Zauważył bowiem, że zgromadzeni w restauracji ludzie, którzy do tej pory tylko zerkali na niego, teraz otwarcie zaczęli mu się przypatrywać. Wstał więc i uklonił się zgromadzonym.

- Cała sytuacja przypomina mi tę z „Otella” - powiedział. -
Pozwólcie państwo, że przypomnę odpowiedni fragment:

*Kiedy gorąco z serca prosiła
Bym opowiedział jej całe me dzieje,
Które zna dotąd jedynie w okruchach,
Lecz nie w całości.
Zgodziłem się chętnie
I łzy roniła często z mej przyczyny
Słyszac o ciosach, które młodość moja
Musiała znosić.
Gdy kończyłem mówić,
Westchnień tysiącem za trud mój płaciła.**

*** William Shakespeare, Otello, przeł. M. Słomczyński**

Kiedy skończył, potoczył triumfalnym wzrokiem po sali, która nagle oszalała. Ludzie klaskali, tupali i krzyczeli: „Jeszcze! Jeszcze!” Emmett uśmiechnął się skromnie, jakby chciał powiedzieć, że tego właśnie się spodziewał i że nie jest to nic nadzwyczajnego, a następnie zajął swoje miejsce naprzeciwko zdruzgotanego wnuka.

- Na pewno do łóżka? - spytał w tym samym momencie Toby Trent i spojrzał prosząco na matkę.

- Absolutnie, kochanie. - Jeanne pogłaskała synka po jasnych włosach.

Chłopczyk poruszył się niespokojnie w pościeli.

- To przytul mnie mocno - poprosił.

Jeanne przytuliła syna, a następnie zaczęła poprawiać pościel. Pod poduszką znalazła szarą, trochę wygniecioną kopertę.

- Co to takiego? - spytała.

- List do Mikołaja - odparł Toby.

- Napisałeś, kiedy mnie nie było?

W odpowiedzi pokiwał tylko głową. Oczka mu się kleiły. Jeszcze parę minut temu był skory do zabawy, a teraz po prostu chciało mu się spać.

- A może powiesz mi, co byś chciał dostać. Chłopiec pokręcił głową.

- Nie. To niespodzianka.

- Ale Mikołajowi powiedziałaś? - indagowała Jeanne.

- To co innego.

- A Sherry? Sherry też powiedziałaś? - spytała jeszcze Jeanne.

Toby uśmiechnął się do niej.

- Nie, Sherry też nie - stwierdził. - To będzie prawdziwa nie... - ziewnął - niespodzianka.

Do licha, od Sherry mogłaby się wszystkiego dowiedzieć. Co więcej, liczyć na jej wsparcie finansowe. Do niedawna Jeanne uważała, że ponowna wizyta Mikołaja załatwi całą sprawę, jednak teraz nie była już tego tak pewna.

Wstała z zamiarem opuszczenia pokoju syna. Przed wyjściem jeszcze raz zerknęła w stronę poduszki, pod którą spoczywał list, ale nie wzięła go ze sobą. Wiedziała, że nie ma to najmniejszego sensu. Czowała tylko, że nadchodzące święta nie będą należały do najprzyjemniejszych.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Kiedy w końcu pošlesz tego chłopaka do przedszkola? - z tymi słowami Angie weszła do kuchni.

Jeanne spojrzała na siostrę znad płachty gazety. Wszyscy Potterowie, łącznie z nią, byli wygadani i pewni siebie, jednak w przypadku Angie Potter-Gilbert te cechy rozwinęły się aż nazbyt przesadnie.

Podobnie jak u mamy, pomyślała Jeanne. Catherine J. Potter zawsze była ich wodzem, mentorem i przewodnikiem.

Jeanne zmarszczyła brwi, słysząc słowa siostry. Nie znosiła, kiedy Angie mieszała się do kwestii wychowywania Toby'ego. Sama przecież nie miała dzieci. Jeszcze nie miała, jak zwykł to podkreślać jej mąż, Brad.

Na szczęście Jeanne wiedziała, jak sobie radzić z siostrą. Musiała się tego nauczyć, wraz z młodszym bratem Andym, jeszcze w dzieciństwie. Trzeba było po prostu od początku twardo bronić swojego punktu widzenia i nie dać sobie wejść na głowę.

- Toby ma na razie pięć lat i nie widzę potrzeby, żeby chodził do przedszkola. Zwłaszcza że sam nauczył się już czytać i pisać.

- Czy wiesz, jak mnie dzisiaj przywitał?! - spytała Angie

- Od razu kazał mi zdjąć buty, a potem zadał pytanie, czy jestem na dziś umówiona.

Jeanne nie mogła powstrzymać śmiechu, ale Angie wcale nie było wesoło. Żeby podkreślić wagę swoich słów, walnęła pięścią w stół:

- Czy on w ogóle wie, jak powinno zachowywać się dziecko w jego wieku?!

Jeanne tylko machnęła ręką.

- To taka jego zabawa. Siostra wycelowwała w nią palec.

- Skąd wiesz?

- Choćby stąd, że nie mam dziś rano żadnych spotkań i Toby wie o tym.

- A czy powinien wiedzieć?

Jeanne westchnęła. Tak, tym razem Angie trafiła celnie. Ona też zadawała sobie to pytanie.

- No cóż, stara się przejąć rolę gospodarza - odparła, odsuwając od siebie gazetę. - Jedyne go mężczyzny w domu. Bo w końcu jest tutaj jedynym mężczyzną.

Jednak Angie nie dawała za wygraną.

- A przecież te sprawy w ogóle nie powinny go obchodzić - ciągnęła.

- Toby powinien się bawić w piaskownicy albo na huśtawkach, tak jak inne dzieci.

Jeanne rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Czasami muszę zostawić go samego w domu - powiedziała. -

Dlatego nie może wpuszczać nieznajomych i zawsze pyta o umówione spotkanie. Jeśli któryś z klientów przyjdzie niespodziewanie, może się narazić na dłuższe czekanie.

Nie musiała oczywiście dodawać, że Toby uwielbiał drażnić się z ciocią Angie. Pewnie dlatego, że tak łatwo udawało mu się ją doprowadzić do stanu skrywanej furii.

Angie podeszła do ekspresu i sprawdziła, czy jest w nim jeszcze kawa. Następnie wlała resztkę do „swojego” kubeczka w kwiatowy rzucik.

- Chciałam z tobą jeszcze porozmawiać o jednej sprawie - ciągnęła Angie, siadając z kubkiem przy stole. - Właśnie wczoraj stwierdziliśmy z Bradem, że ciągle traktujesz fotografię jak hobby. Tak samo jak wtedy,

kiedy jeszcze żył David. Powinnaś zrozumieć, że teraz jest to twoja praca, za którą należy ci się godziwe wynagrodzenie.

„Godziwe wynagrodzenie” było tym, co głównie interesowało Brada. Dzięki własnej praktyce dentystycznej mógł sobie pozwolić na dom z basenem i członkostwo w miejskim klubie. Angie pomagała mu jako asystentka. Jeanne miała wrażenie, że gdyby przez chwilę pomyśleli o czymś innym niż „godziwe wynagrodzenie”, szybko dorobiliby się dziecka, które mogliby wychowywać po swojemu.

- Zamierzam podnieść stawki po pierwszym styczniu - powiedziała zgodnie z prawdą. - Mam wrażenie, że ludziom łatwiej zaakceptować podwyżki wraz z Nowym Rokiem. Jest w tym jakiś element psychologiczny.

- No dobrze, a zdjęcia z Bożego Narodzenia i sylwestra? - dopytywała się Angie. - Przecież właśnie wtedy masz najwięcej zamówień. Jeanne skinęła głową.

- To prawda. Dlatego właśnie mogę więcej zarobić - stwierdziła.

- Ale nie tyle, ile powinnaś - replikowała Angie. Jeanne miała już dosyć tej rozmowy. Bała się, że do niczego nie doprowadzi i tylko pogorszy sytuację.

- Angie, proszę, czy możemy skończyć ten temat? Siostra spojrzała na nią bystro, a następnie skinęła głową.

Po chwili Jeanne poczuła jej dłoń na ramieniu.

- Oczywiście, kochanie. Przepraszam, ale czasami zapominam, jak jesteś delikatna. Naprawdę potrafisz robić dobrą minę do złej gry.

- Wcale nie jestem delikatna - stwierdziła Jeanne. - Przeżyłam jakoś śmierć Davida. To będą nasze pierwsze święta bez niego. Od stycznia... - Poczowała, że głos jej się zaczyna łamać, więc zamilkła.

Siostra poklepała ją po plecach.

- Tak, oczywiście. Jasne - powtarzała. - Nawet nie wiesz, jak wszyscy pragniemy, żeby to były radosne święta. Mama upiekła więcej pierniczków niż kiedykolwiek, a tata już się zabrał do przystrajania domu. A Andrew... - zaczęła Angie, ale zaraz umilkła.

Czy musiała coś mówić o dwudziestodwuletnim bracie, który zawsze zjawiał się w domu w ostatniej chwili, żeby uniknąć jakiegokolwiek pracy, ale za to potrafił rozbawić wszystkich jak nikt inny?

Jeanne spojrzała na siostrę.

- Zrób coś, żeby wszyscy byli tacy egocentryczni i zapatrzeni w siebie jak zwykle - poprosiła. - Chcę, żeby to były normalne święta.

Angie myślała przez chwilę, a następnie tylko wzruszyła ramionami.

- Żądasz niemożliwego - powiedziała.

- Wpłyn jakoś! Możesz zacząć od swojego męża.

- Brada? On nawet nie nazywa się Potter, więc nie ma naturalnych warunków na to, żeby być egoistą i wariatem!

- Siostra tylko machnęła ręką.

Tak naprawdę szczyliła się jednak tym, że wyszła za mąż za normalnego i jak to się mówiło „porządnego” człowieka, chociaż często wytykała mu, że jest nudny.

Jeanne uśmiechnęła się blado.

- Moim zdaniem Brad ma naturalne zadatki na wariata - oświadczyła.
- Pamiętasz, jak usiłował wypełnić wgłębienia w ziemniakach na urodzinach mamy?

Angie pokiwała z politowaniem głową.

- To u niego choroba zawodowa - wyjaśniła. - Po prostu nie potrafi znieść jakiegokolwiek dziury w zasięgu wzroku.

- Wobec tego musisz uważać na muszlę klozetową - rzuciła złośliwie Jeanne.

- Chodzi o małe dziury, głupia! Takie jak w ziemniakach albo w zębach.

Atmosfera wróciła do normy. Zwłaszcza że zza drzwi wychylił się Toby i powiedział surowym tonem:

- Nie mówi się do mamy głupia! Angie wstała z groźną miną.

- Jasne, że nie. Zaraz ci pokażę, kto tu tak naprawdę jest głupi.

Toby zniknął z piskiem za drzwiami, a Angie zajęła swoje miejsce i wypijała ostatnie łyki chłodnej już kawy.

- Dobrze, mogę spróbować urobić jakoś rodzinę, ale pod warunkiem, że pozwolisz Toby'emu wziąć udział w zabawie, którą organizujemy dla dzieci. Będą różne zawody, a nawet występy. Moim zdaniem jesteś nadopiekuńcza w stosunku do niego. Toby wróci tu cały i zdrowy. A przy okazji dobrze mu zrobi, jak spotka paru rówieśników.

- Sama nie wiem - westchnęła Jeanne. Angie ponownie zrobiła groźną minę.

- Naprawdę powinnaś mu trochę odpuścić - zaczęła. Jednak w tym momencie Jeanne wyciągnęła rękę.

- Zaczekaj, zaczekaj! Czy możesz się przez chwilę nie ruszać?

Zdziwiona siostra spełniła jej prośbę.

- No co? - spytała w końcu po upływie trzydziestu sekund.

- Wiesz, przypominasz mi kogoś ważnego z tą miną i w tej pozycji - wyjaśniła Jeanne. - Staram się tylko przypomnieć sobie, kogo.

Angie jedynie machnęła ręką.

- Pewnie Loni Anderson - powiedziała ze śmiechem. - Byłam przedwczoraj u jej fryzjera i podobnie obciął mi włosy.

Jeanne pokręciła głową.

- Nie, to nie chodzi o włosy, tylko o pozę, sposób mówienia, wyraz twarzy...

- O Boże, nie! Tylko nie mamę! - przeraziła się Angie. Jeanne natychmiast uderzyła się w czoło.

- No jasne, przypominasz mi mamę! - wykrzyknęła. - Szukałam wśród znanych osobistości i dlatego o niej nie pomyślałam. Jak to się stało, że się domyśliłaś? Sama na to wpadłaś? - dopytywała się złośliwie.

Angie zrobiła ponurą minę.

- Brad - odparła.

- Co, Brad? - spytała zdezorientowana Jeanne.

- Brad oskarża mnie, że zachowuję się jak mama - wyjaśniła.

Obie siostry popatrzyły na siebie, a następnie wybuchnęły szaleńczym śmiechem. Nie, w tym momencie na pewno nie przypominały majestatycznej Catherine J. Potter, tej „ważnej osoby”, o której myślała Jeanne.

Kiedy w końcu wytarły łzy z policzków, Angie spojrzała z powagą na siostrę.

- Posłuchaj, mówię poważnie, wypuść Toby'ego spod swoich skrzydeł. Prędzej czy później i tak będziesz musiała to zrobić. Niech to nie będzie zbyt bolesny proces.

- Dobrze. A ty zrób coś z rodziną.

- Spróbuję - obiecała Angie. - Tylko ty też musisz spróbować zachowywać się normalnie.

Jeanne skinęła głową.

- Zgoda - przyrzekła. - Już nawet zrobiłam pewne postępy.

- A mianowicie?

Jeanne przypomniała sobie przystojnego sprzedawcę od Grace'ów.

- Muszę powiedzieć, że znowu zaczynają mi się podobać mężczyźni
- stwierdziła ostrożnie.

Siostra w podnieceniu chwyciła ją za rękę.

- To wspaniale! - wykrzyknęła. - Czy mogłabyś go zaprosić na
obiad? To znacznie poprawiłoby atmosferę i ułatwiło mi zadanie.

Jeanne wyglądała na obrażoną.

- Nic podobnego!

- A masz przynajmniej jego numer telefonu? - spytała
zrezygnowanym tonem siostra.

- Jasne, że nie! Przecież powiedziałam tylko, że mi się spodobał, nic
więcej. Nie widzę powodu, żeby robić wokół tego tyle hałasu...

Angie siedziała przy stole i poruszała zgiętą w łokciu ręką tak, jakby
chciała uciszyć siostrę.

- Czekaj, czekaj, to wcale nie jest taki zły pomysł. A może mogłabyś
mignąć rodzicom przed oczami jakąś fotografią? Wiesz, urodziwa męska
twarz z jakiegoś tygodnika.

- Sama mogę zrobić lepsze zdjęcie. - Jeanne obraziła się na dobre. -
Ale wcale nie chcę! Nie jestem jeszcze tak zdesperowana.

W tym momencie dobiegł do niej głos dzwonka. Jeanne zerwała się z
miejsca, wiedząc, że Toby nie wpuści osoby, która nie była umówiona.

- Zaczekaj chwilę - rzuciła w stronę siostry.

W przedpokoju minęła się z zaaferowanym synem.

- To zupełny nieznajomy - poinformował zdeglustowany chłopiec. -
Powiedziałem, żeby sobie poszedł.

- Dobrze, kochanie. - Nawet nie patrząc w wizjer, Jeanne otworzyła
drzwi, w obawie, że nieznajomy rzeczywiście sobie pójdzie.

Po paru minutach wróciła do kuchni. Zastała Angie przy rytualnym przeglądaniu zawartości jej szafek. Tym razem jednak nie zrobiła jej awantury, tylko usiadła przy stole i spojrzała raz jeszcze na błękitną kopertę.

- Kto to był? - spytała ją siostra.

- Posłaniec - odparła Jeanne. - Wydaje mu się, że może mnie przekupić stoma dorcami.

Angie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Co? Posłaniec usiłował cię przekupić? Wplątałaś się w jakąś aferę? Jeanne pokiwała smętnie głową.

- Można to tak nazwać - stwierdziła. - Ale oczywiście to wszystko jego wina.

Niepokój Angie zdawał się narastać. Od razu też zamknęła szafkę i podeszła do siostry.

- Kogo masz na myśli?

- Oczywiście Świętego Mikołaja! - padła odpowiedź.

Angie przez moment zastanawiała się, czy już zrobić siostrze awanturę, czy też poczekać i dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi. Wybrała jednak to drugie rozwiązanie.

- Skoro w grę wchodzi święty, to chyba nie jest to afera kryminalna? - spytała.

Zamyślona Jeanne potrząsnęła głową i raz jeszcze przyjrzała się kopercie.

- Chodzi o to, że Mikołaj obiecał spełnić wszystkie życzenia Toby'ego. Ale Ron Coleman obiecał, że to odwoła... - tłumaczyła niezbyt składnie.

- Ron Coleman? Ten sławny dziennikarz?

- Nie, niesławny sprzedawca - odparła Jeanne.

- Aha, rozumiem. Musi ich być dwóch. - Angie zamilkła na chwilę.

Nie na długo jednak: - Nie, nic nie rozumiem. Co ma wspólnego Święty Mikołaj z Colemanem - sprzedawcą, a ten z przekupstwem i tymi pieniędzmi? - wskazała kopertę.

Jeanne westchnęła ciężko.

- Pamiętasz, jak mama zabrała Toby'ego do sklepu Grace'ów?

Angie skinęła głową.

- Jasne. Byłam u rodziców, kiedy wychodzili.

- Właśnie wtedy Święty Mikołaj obiecał, że spełni wszystkie życzenia Toby'ego.

Mimo że Angie sama nie miała dzieci, natychmiast zrozumiała grozę sytuacji. Finanse były jednak jej mocną stroną.

- Ojej! Skąd weźmie tyle forsy?!

- Właśnie - mruknęła Jeanne. - Dlatego poszłam do sklepu, do tego Colemana, żeby wyjaśnić całą sprawę.

Angie pokiwała głową i wskazała kopertę.

- Jasne. I teraz zostało to załatwione.

- Nic nie jest załatwione - zaprzeczyła Jeanne. - Nie chcę tych pieniędzy. Wolę, żeby Święty Mikołaj odwołał swoją obietnicę.

- Coś ty - powiedziała jak zawsze praktyczna Angie. - Przecież możesz teraz spełnić życzenia Toby'ego.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Oczy sióstr miały tę samą barwę i wyglądały bardzo podobnie. Poczwały się w tej chwili tak, jakby przeglądały się w lustrze.

- A czy podjęłabyś się spełnić wszystkie jego życzenia? - spytała Jeanne.

Angie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Zależy, czego chce.

Z kolei ramiona Jeanne powędrowały parę centymetrów w górę.

- Nie chce mi powiedzieć. To jego tajemnica. Angie zamyśliła się na chwilę. Następnie smutno pokiwała głową.

- Sama nie wiem, sama nie wiem - powtórzyła. - Rozumiem, że nie chcesz narażać go na rozczarowania. Wiem, co czujesz. Życie nie jest Bożym Narodzeniem, gdzie każdy dostaje to, co chce.

Angie spojrzała na zegarek, a następnie wstała i podeszła do siostry.

- Muszę już iść - powiedziała. - Za godzinę otwieramy gabinet.

Jeanne skinęła głową.

- Czy ten sprzedawca jest przynajmniej przystojny? - spytała na koniec siostra.

Jeanne przytaknęła.

- Nawet bardzo. Wysoki i muskularny szatyn, z zębami, które bez obaw mógłby pokazać twojemu mężowi. Dlaczego pytasz?

- Wiesz co, może zrobiłabyś mu zdjęcie i tak przypadkiem pokazała rodzicom, co?

Jeanne poklepała siostrę po plecach.

- Idź już, bo się spóźnisz. I tylko nie mów o niczym mamie. Sama to wszystko załatwię.

Angie wahała się jeszcze przez chwilę, jakby chciała coś powiedzieć, a potem tylko machnęła ręką.

- Cześć - rzuciła, wychodząc.

- Jakaś dama do ciebie, Ron - powiedział odziany w szafirowy szlafrok Emmett i królewskim gestem wyciągnął słuchawkę w stronę łazienki.

Po chwili wyszedł z niej jego wnuk, opasany ręcznikiem i jeszcze mokry.

- Czy to ktoś znajomy? - spytał.

Emmett uśmiechnął się do niego i mrugnął okiem.

- Nie, ale głosik zupełnie miły.

- No tak, na ciebie zawsze można liczyć. - Zrezygnowany Ron i sięgnął po słuchawkę.

Emmett spojrzał na niego z przyganą.

- Z całą pewnością jest to jednak dama i nie wiem, czy powinieneś w tym stroju z nią rozmawiać.

Ron ostentacyjnie zdjął ręcznik i rzucił go na krzesło.

- Tak, słucham? - powiedział do słuchawki.

- Tutaj Jeanne Trent.

Ron nagle pożałował, że tak pochopnie pozbył się ręcznika. Nie miał jednak wyjścia, kabel nie sięgał aż do krzesła.

- Pamiętam panią. Mam nadzieję, że otrzymała pani przesyłkę - odezwał się niezbyt pewnym głosem.

- Źle mnie pan zrozumiał - zaczęła tłumaczyć mu jak dziecku. - Nie chcę tych pieniędzy. Chcę, żeby Święty Mikołaj odwołał swoją obietnicę.

Ron poczuł, że ma sucho w gardle. Spojrzał na Emmetta, który z zadowoloną miną przyglądał mu się z pewnej odległości. Najchętniej rzuciłby w dziadka aparatem.

- Ale... ale pieniądze są przecież lepsze - próbował przekonywać. - Mam nadzieję, że tyle wystarczy.

- Nie - powiedziała twardo Jeanne Trent. - Pieniądze nie są lepsze. Albo Mikołaj zrobi, co do niego należy, albo pójdę ze skargą do sklepu.

Ron zerknął w stronę dziadka. No tak, chyba nieźle się bawił, obserwując jego wysiłki.

- Nie, proszę poczekać!

- Czekam na Mikołaja do jutra wieczorem - powiedziała Jeanne Trent. - Jeśli się nie pojawi, pojutrze z samego rana złożę skargę.

- Ależ to niemożliwe, proszę pani... - Chciał wytłumaczyć całą sytuację, jakoś ją ugłaskać, ale kobieta odłożyła słuchawkę.

Ron zrobił to samo, podszedł zrezygnowany do krzesła i usiadł na ręczniku.

- Ona nie chce pieniędzy, chce ciebie. - Wyciągnął dłoń w stronę Emmetta, któremu natychmiast zrzędnęła mina.

- Och, ta niewiasta niskich uczuć - westchnął.

Ron siedział przez chwilę, a następnie wstał i wziął ręcznik.

- Muszę na chwilę wyjść - oświadczył, otwierając drzwi do łazienki, w której zostawił zapalone światło.

- A zdążysz przed pierwszą odsłoną?

- Będę na tyle wcześnie, żebyśmy mogli dotrzeć na czas do sklepu - powiedział, zatrzymując się w drzwiach. - A zresztą, może pojedziesz ze mną?

- Nie, mam tutaj trochę rzeczy do zrobienia.

- Oczywiście pozwolisz, żebym odwalił za ciebie całą brudną robotę!

- Ron wycelował palec w pierś dziadka.

- Brudną robotę? Ach, cóż to za określenia? Wyhodowałem węża na własnym łonie!

Ron o mały włos nie wybuchnął śmiechem. Postanowił jednak odpowiedzieć pięknym za nadobne.

- A cóż ma rzec ta biedna kobieta, która nie może wykarmić swego niemowlęcia?! - zadeklamował. - Czyż nie wzrusza cię jej straszliwy los?!

- Przecież dostała forszę - zauważył rzeczowo Emmett. - Wiesz co, masz naprawdę talent dramatyczny. Przez chwilę poczułem, że jestem w teatrze. To u nas chyba rodzinne.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Ron i zamknął drzwi łazienki.

- Mamo, znowu ktoś obcy!

Jeanne odwróciła się od statywu, na którym zamocowała swój najlepszy aparat fotograficzny z 35-milimetrowym obiektywem i spojrzała na syna.

- Znasz go?

Toby pokręcił głową.

- Nie, to prawdziwy obcy.

- Przepraszam, Agnes - zwróciła się do klientki. - Za chwilę wracam.

Tym razem Toby, który zwykle szedł do swojego pokoju, towarzyszył matce aż do drzwi. Ku rozczarowaniu Jeanne na zewnątrz stał Ron Coleman.

- A, to pan - mruknęła.

Ron nie spodziewał się takiego powitania. Zwykle kobiety cieszyły się na jego widok. Jednak musi się chyba przyzwyczaić do tego, że Jeanne Trent jest inna.

- Tak, pani syn prosił, żebym poczekał.

- Toby? Żeby pan poczekał? - zdziwiła się Jeanne.

- To ty jesteś Toby - ucieszył się mężczyzna i pogłaskał chłopczyka po jasnych włosach.

- Toby, idź już do siebie - poleciała synowi Jeanne. - Szybko pan przyjechał - zauważyła, kiedy malec zniknął w swoim pokoju.

Wciąż nie wpuszczała go do środka, ale chciała mu się lepiej przyjrzeć. Wyglądał doprawdy imponująco w wąskich dżinsach i poszerzanej u góry skórzanej kurtce.

- Miałem blisko - stwierdził. Como Avenue, przy której mieszkał Emmett, znajdowała się zaledwie dziesięć minut drogi stąd. Emmett i Jeanne Trent mogli nawet robić zakupy w tym samym centrum handlowym w Lexington.

Jeanne złożyła ręce na piersiach, chcąc zachować dystans do mężczyzny, a następnie zerknęła w stronę pokoju syna.

- Więc gdzie on jest, panie Coleman? - spytała, patrząc na niego znacząco.

- Proszę mi mówić po imieniu, Ron - zaproponował.

- Gdzie jest ten czerwony, Ron? - powtórzyła pytanie, czyniąc aluzję do stroju Emmetta.

- Spodziewa się pani jakiegoś komunisty? - spytał zdziwiony.

- Nie, twojego podopiecznego, Ron - wyjaśniła i znowu obejrzała się za siebie. - Tak się składa, że mam tutaj kogoś, kto bardzo lubi podsłuchiwać.

Ron westchnął. Ciągnięcie tej gry nie miało żadnego sensu.

- No cóż, mogę tylko powiedzieć, że czerwony nie przyjdzie - stwierdził z żalem.

- Ale dlaczego?! - Głos Jeanne podniósł się niebezpiecznie o kilka tonów.

Ron rozłożył ręce w bezradnym geście.

- No cóż, po prostu odmawia. A muszę podkreślić, że jest uparty jak osioł.

- Przecież pan powiedział, że jest jego szefem! - przypomniała mu.

Ron jednak pokręcił głową.

- Mówiłem tylko, że się nim opiekuję - stwierdził. - Poza tym chciałem ci przypomnieć, że jesteśmy po imieniu. Wpuść mnie do środka. Musimy pogadać.

Jeanne tylko machnęła ręką.

- Niech będzie po imieniu - burknęła i spojrzała na niego złym wzrokiem. - Wyjaśnij mi zatem, Ron, dlaczego nie miałabym teraz pójść do sklepu i powiedzieć im, żeby wylali cię z pracy.

Mężczyzna pokiwał tylko głową.

- Choćby dlatego, że tam nie pracuję.

Jeanne aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Że co?!

- To prawda. Bardzo mi przykro. Jeanne jęknęła z rozpaczy.

- O Boże! I po tym wszystkim, co przeszłam, w dodatku nie będę mogła się odegrać?!

Ron napał na drzwi tak, że się musiała cofnąć.

- Ależ wręcz przeciwnie - powiedział. - Właśnie po to tu jestem, żebyś sobie mogła ulżyć.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Hej, cześć, może się lepiej poznamy?

Ron Coleman stał właśnie w pokoju nazywanym szumnie „salonem” i zdejmował kurtkę, kiedy usłyszał cichy szelest za plecami. Gdy się odwrócił, zobaczył małego blondynka w dżinsach i ciemnozielonej bluzie.

- Nie mogę rozmawiać z obcymi - powiedział rezolutnie chłopiec.

- Przecież nie jestem taki zupełnie obcy - zauważył Coleman. -
Spotkaliśmy się przy drzwiach. Jestem Ron.

Zachęcony tymi słowami chłopiec przysunął się trochę bliżej.

- A ja Toby - powiedział.

Uścisnęli sobie dłonie, acz z zachowaniem dystansu.

- Jesteś kolegą mamy? - spytał.

- Chciałbym nim być.

Oczy chłopca zaśniły intensywnie. Natychmiast wyjął z kieszeni spodni niewielką kauczukową piłeczkę.

- Koledzy mamy bawią się ze mną. Łapaj!

Ron złapał piłkę, a następnie zwrócił ją chłopcu.

- Wiesz, przyjechałem tu, żeby porozmawiać - stwierdził. - Nie mam czasu na zabawy.

- To nic. Teraz rzuć! - powiedział Toby, zwracając mu piłeczkę.

Ron rzucił piłkę w kierunku Toby'ego, ale chłopiec nie zdołał jej pochwycić i piłeczka wypadła do przedpokoju.

- Jeden zero! - krzyknął Toby, wybiegając za piłką. Wrócił po chwili i rzucił, a Ron wykonał gest w stronę piłki, ale jej nie złapał.

- Remis! - wykrzyknął. - I koniec meczu. Idź jeszcze potrenować - zwrócił się do Toby'ego.

Pokazał dziecku, jak można samodzielnie trenować rzuty i chwytanie piłki w baseballu, po czym uszczęśliwiony Toby przeniósł się do swojego pokoju.

Ron usiadł na kanapie i rozejrzał się dokoła. W salonie nie było żadnych starych rzeczy. Wszystkie meble, utrzymane w pastelowych tonacjach, wyglądały na zupełnie nowe. Jednocześnie czuło się tu kobiecą rękę. Mężczyzna na pewno urządziłby ten pokój zupełnie inaczej. Ron z uśmiechem przypomniał sobie własny domek w Los Angeles.

W kącie pokoju już stała choinka. Kiedy w domu są dzieci, choinkę ubiera się znacznie wcześniej, żeby mogły się nią nacieszyć. Ron wstał i podszedł do drzewka. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest to prawdziwy świerk, stojący w naczyniu z wodą. Kiedy ostatnio widział prawdziwą choinkę u kogoś w domu? Chyba u znajomych we Francji. A tutaj, proszę! Żywe drzewko! Ułamał jedną igłę i rozgryzł ją w zębach.

Nagle poczuł uderzenie między łopatkami.

- Toby - powiedział głośno, odwracając się w stronę drzwi.

Tym razem chłopiec wyciągnął cały swój sprzęt baseballowy, łącznie z miniaturową rękawicą i plastikowym kijem.

- No już! Gramy!

Ron wziął piłkę do ręki, a malec natychmiast sięgnął po swój kij. Ron starał się przypomnieć sobie zasady dziecięcego baseballu, który różnił się od normalnej gry. Powiedzmy, że dywan może być bazą, ale co dalej? Toby jednak wyjaśnił mu szybko wszystkie wątpliwości i rozpoczęli grę. Ron powoli dał się w nią wciągnąć. Zaczął nawet pokrzykiwać wraz z Tobym.

Kiedy obaj wrzasnęli nadzwyczaj głośno po wyjątkowo udanym rzucie, w przedpokoju pojawił się ktoś trzeci.

- Hej, chłopcy!

Toby natychmiast podbiegł do Rona i schował się za nim. Jeanne pogroziła synowi kijem baseballowym, który podniosła z podłogi.

- Toby! Wcale nie pozwalałam ci się bawić z tym panem - powiedziała groźnym tonem.

Stojąca za jej plecami kobieta w średnim wieku z bardzo wyzywającym makijażem zbierała się do wyjścia. Ron poczuł się wyjątkowo głupio.

- Przepraszam - powiedział, osłaniając Toby'ego. - Bardzo przepraszam, sam się zgodziłem.

Jeanne odwróciła się od nich, żeby pożegnać się z klientką. Umawiała się z nią chyba na następną sesję. Po chwili jednak wróciła do Rona i syna.

- Toby, chcę, żebyś tu posprzątał. Muszę porozmawiać z panem Colemanem.

- Powiedział, że ma na imię Ron - zauważył Toby.

- Chętnie pomogę Toby'emu. Ja też grałem.

Jeanne pokiwała tylko z politowaniem głową, a następnie skinęła na Rona.

- Pan pozwoli - powiedziała, wskazując mu drogę.

- Przecież jesteśmy po imieniu - zaproponował Ron. - Zresztą z Tobym też, prawda?

Chłopiec rozciągnął wargi w uśmiechu, ale natychmiast spokorniał pod karcącym spojrzeniem matki.

- Chodźmy, Ron - rozkazała. - Za piętnaście minut mam kolejnego klienta.

Ron pomachał ręką Toby'emu i ze spuszczoną głową poszedł we wskazanym kierunku. Weszli do studia. Jeanne dokładnie zamknęła za nimi drzwi.

- Fajny chłopak - zauważył Ron.

- Tak, wiem.

- Pamiętam, że sam musiałem się trochę wyszaleć w tym wieku, tak mnie rozpierała energia - powiedział. - Powinnaś być dla niego bardziej wyrozumiała.

- Nie wolno grać w piłkę w salonie - stwierdziła cierpko. Ron tylko rozłożył ramiona.

- Cóż, po prostu skorzystał z okazji. Poniosło go trochę i tyle.

- Tak jak Świętego Mikołaja? - rzuciła.

Ron rozejrzał się po pracowni. Chciał, dopóki się da, uniknąć tematu Świętego Mikołaja.

- Tutaj chyba była sypialnia, prawda?

- Tak - odparła Jeanne. - Największa w całym domu i z łazienką.

Teraz okazało się to bardzo wygodne.

- Długo pracujesz w tym zawodzie?

- Przedtem było to tylko moje hobby - odparła zamyślona. - I jakiś tam dodatek do pensji męża. A teraz, od roku, muszę się po prostu z tego utrzymywać.

Rona świerzbził język, żeby spytać, co znaczy owo „przedtem”, nie odważył się jednak tego zrobić. Zresztą chciał zadać Jeanne więcej pytań. Stłumił jednak w sobie tę chęć i tylko rozejrzał się dokoła. Z trudem powstrzymał gwizdnięcie, zobaczył bowiem trzy profesjonalne aparaty

fotograficzne. Ten najdroższy stał na statywie i celował w dekorację złożoną ze sztucznego kominka i półki z książkami.

- No, teraz jest pełny profesjonalizm - powiedział z uznaniem, wskazując aparat.

Jeanne uśmiechnęła się, gdy spojrzała na swój sprzęt, ale po chwili uśmiech zamarł jej na wargach.

- Nagle musiałam stać się głową rodziny - stwierdziła z powagą. - Wydałam na to wszystkie oszczędności.

I znowu poczuł chęć, żeby zadać jej kilka pytań. Jednak zawodowy instynkt podpowiadał mu, że gdyby tylko spróbował pociągnąć piękną blondynkę za język, natychmiast przestałaby cokolwiek mówić.

Jeanne i tak już była zła na siebie za to, że powiedziała zbyt wiele. Dlaczego była taka wylewna w towarzystwie tego nieznanego? Oczywiście nie musiała zbyt daleko szukać odpowiedzi. Ron po prostu bardzo się jej podobał, a poza tym pochlebiali jej to, że się nią interesuje.

- Hm, więc nie pracuje pan u Grace'ów, a Święty Mikołaj się zbuntował i odmawia współpracy? - powróciła do poprzedniego tematu.

Ron niechętnie skinął głową, unikając jej wzroku.

- Tak, obawiam się, że tak - przyznał. - Ja jestem dziennikarzem, a nie sprzedawcą, a Święty Mikołaj to mój dziadek, Emmett Windom. Trochę się nim opiekuję i akurat byłem wtedy na biegunie północnym, kiedy się pojawiłaś. Proponuję, żebyś jednak mówiła mi po imieniu - zaproponował,

- Tak będzie łatwiej.

Jeanne skinęła głową.

- Aha, więc to ty jesteś ten Ron Coleman! - wykrzyknęła.

- Nie słyszałem, żeby był jakiś inny.

- Czy to znaczy, że jesteś tym sławnym dziennikarzem? - upewniła się jeszcze.

- Tak - przyznał skromnie.

- Wobec tego nasza rozmowa w sklepie w ogóle nie miała sensu! - powiedziała z nagłą złością. - Po prostu mnie nabrałeś, udając, że bierzesz poważnie moje zażalenie!

Ron natychmiast potrząsnął głową.

- Nie, oczywiście, że nie! - zapewnił ją. - Prawdę mówiąc, od tego czasu tylko tym się zajmowałem. I muszę stwierdzić, że po prostu jedziemy na jednym wózku.

- Skąd to przypuszczenie?

- Oboje opiekujemy się osobami, które nie ponoszą za siebie pełnej odpowiedzialności - wyjaśnił. - I obojgu nam zależy, żeby nasi podopieczni wyszli z tej historii bez szwanku.

Jeanne zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze Świętym Mikołajem - powiedziała.

- Wszystko! Tobi wierzy w Świętego Mikołaja, a Emmett wierzy w to, że nim jest - stwierdził Ron, kładąc akcent na słowie „jest”.

Jeanne spojrzała na niego nieufnie.

- Nie nabierasz mnie?

- To taka metoda aktorska. Teraz reprezentuje ją na przykład Dustin Hoffman. Trzeba uwierzyć, że się jest tym, kogo się gra - wyjaśniał cierpliwie Ron. - Dlatego kiedy Emmett wkłada czerwony kostium, wierzy, że jest Świętym Mikołajem. No, a musi grać, żeby w ogóle coś robić. Bez zajęcia usechłby z nudów.

Jeanne tylko pokręciła głową.

- Moja mama mówiła, że usiłował z nią flirtować. Co to za święty, który flirtuje z kobietami?

Ron tylko machnął ręką.

- To jest silniejsze od niego - stwierdził. - Po prostu uwielbia kobiety i nie może ich nie podrywać.

Jeanne rzuciła na niego szybkie spojrzenie. Jaki dziadek, taki wnuk, pomyślała. Nic jednak nie powiedziała.

- Emmett jeszcze teraz usiłuje podrywać trzydziestolatki - zwierzył jej się. - Moi rodzice muszą go bardzo pilnować.

- Aha, czyli pełnisz teraz rolę przyzwoitki - domyśliła się Jeanne. - Od dawna?

- W zasadzie mieszkam w Los Angeles - wyjaśnił Ron.

- Jednak dużo podróżuję. Teraz przyjechałem do domu, ponieważ rodzice wyjechali na krótki wypoczynek.

Jeanne spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem, kiedy powiedział: „do domu”.

- Jesteś z Minnesoty? - spytała.

Pomyślał, że ludzie tutaj, podobnie jak gdzie indziej, bardzo lubią słyszeć, że ktoś znany wywodzi się z ich miasta czy stanu. Jeanne nie różniła się wcale od dziewcząt, z którymi chodził w szkole średniej czy też spotykał się później w Kalifornii.

- Jasne. Wychowałem się na południu Minneapolis.

- To miło, że znalazłeś czas, żeby zaopiekować się dziadkiem - zauważyła. - Szkoda tylko, że doszło do tego całego zdarzenia.

Ron skinął głową.

- Ja też żałuję, a Emmett pożałuje, kiedy zwrócisz się do jego prawdziwego szefa, Stanleya Bickela - stwierdził cierpko.

- Tak się boi, że straci tę pracę?

- Wcale się nie boi - odparł Ron. - Jednak dla niego to będzie katastrofa. Teraz ma swoją publiczność, swoje występy, o których może opowiadać kolegom, a tak będzie miał tylko dużo wolnego czasu. Dlatego proszę, żebyś ponownie rozważyła swoją decyzję i przyjęła skromny prezent od braci Grace.

Jeanne potrząsnęła głową. Podeszła do sekretarzyka, z którego wyjęła kopertę, i odwróciła się, żeby oddać ją Ronowi. W tym momencie zderzyła się z nim, gdyż, jak się okazało, podążył za nią. Oczywiście, zaplanował to wcześniej. Nie na darmo był przecież wnukiem Emmetta.

- Mhm, cytrynowy szampon - zamruczał po kociemu.

- Mój ulubiony.

Ona również poczuła swój ulubiony męski zapach. Dawno zapomniany męski zapach... Nic jednak nie powiedziała. Może dlatego, że nos miała wciśnięty w klatkę piersiową Rona.

- Czy nie możemy tego potraktować jak dorośli? - spytał swoim głębokim głosem.

- O... o co ci chodzi? - wyjąkała.

Ujął w dłoń jej podbródek i unióśł go nieco wyżej, chcąc, by na niego spojrzała.

- Przecież święta są właśnie dla dzieci i starców - tłumaczył cierpliwie. - Powinniśmy zrobić wszystko, żeby mogli się nimi cieszyć.

- A ty postanowiłeś zagrać bohatera i opanować sytuację? - spytała zaczepnie, próbując się od niego trochę odsunąć.

- Postanowiłem załagodzić sytuację - wyjaśnił, czując, że wyczerpują mu się zapasy cierpliwości.

- Jesteś żonaty? Masz dzieci?

- Nie - padła odpowiedź.

- Tak myślałam - stwierdziła. - Ciekawe, jak ci się udaje pisać o różnych ludzkich doświadczeniach, skoro nie potrafisz zrozumieć najprostszych rzeczy?

To był atak na jego profesjonalizm. Ron przyjął to tym gorzej, że wątpił, żeby Jeanne czytała cokolwiek z tego, co napisał.

- Potrafię zrozumieć ludzi i opisać różne punkty widzenia - stwierdził cierpko.

Jeanne tylko machnęła ręką.

- Nic nie zastąpi własnych doświadczeń - oświadczyła.

Ron sapnął z gniewu. Trafiła. Właśnie to bolało go najbardziej. Fakt, że jest tylko obserwatorem. Że pisze z pozycji widza. Że mimo profesjonalnego warsztatu czegoś mu jednak brakuje.

- To nie jest prawdziwy czas, zgadza się? - spytał, wskazując cyferblat zegara nad makietą kominka. Na zegarze właśnie dochodziła dwunasta.

- Jest - odparła. - To normalny zegar.

- Muszę już iść. Emmett nie może się spóźnić do pracy.

- Chwycił Jeanne za ramiona. - Obiecuj, że za mną nie pojedziesz!

- Co takiego?! - Spojrzała na niego jak na wariata.

- No... do sklepu. Daj mi trochę czasu. Pozwól, że się tym zajmę - prosił, wycofując się w pośpiechu.

Jeanne pokręciła tylko głową. Dziwiła ją panika, jaką dostrzegła w oczach Rona, kiedy mówiła o jego braku doświadczeń. Dziwiła ją cała ta sytuacja. Jaką rolę odgrywał w niej ten przystojny mężczyzna? Pozwolić mu się tym zająć? No cóż, zostało mu jeszcze trochę czasu.

- Wystarczy cię zostawić na chwilę i już siedzisz po ciemku z tym swoim pamiętnikiem - zaczął głądzić Emmett, wszedłszy do salonu.

- Cześć, dziadku. - Ron podniósł się z wyściełanego welwetem dębowego stolca, który Emmett odkupił kiedyś po ostatnim przedstawieniu „Hamleta”. - Mówiłem ci już, że to nie pamiętnik, tylko dziennik.

- Jasne. Twardziele nie piszą pamiętników. To dobre dla pensjonarek. Jednak nawet najtwardsi zapalają światło, zakładając, że oczy mogą im się jeszcze przydać.

Ron przeciągnął się i ziewnął. Emmett zapalił górne światło, a także dwie boczne lampy.

- Było jeszcze widno, kiedy siadałem - wyjaśnił Ron.

- Musiałem się zdrzemnąć.

Emmett zerknął mu przez ramię.

- Ale coś jednak dzisiaj napisałeś - stwierdził. - Ciekawe, co?

Ron zamknął z trzaskiem brulion.

- To tylko zapis moich frustracji - powiedział. - Nic ciekawego.

Emmett zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu ozdobnego krzesła. Meble w salonie były prawdopodobnie częściami scenografii z różnych przedstawień, ale mimo to jakoś do siebie pasowały.

- Randki z kobietami między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką to wspaniała rzecz - oświadczył Emmett. - Są jeszcze całkiem ładne i mają przy tym anielskie usposobienie. Dzisiaj jedna z nich obwiozła mnie po mieście i pokazała przedszkole wnuka oraz pracę swojego byłego męża.

- Rozwiodła się?

- Nie, owdowiała.

- Chcesz się z nią jeszcze umówić? - zaniepokoił się Ron.

- Wręcz już się umówiłem. Ma po mnie przyjechać jutro po pracy i zabrać na występy chóru kościelnego, do którego należy. A jak tobie poszło? Jak nasza mała mamuska?

- Jest wściekła i wcale nie chce przyjąć pieniędzy - poinformował dziadka Ron.

Emmett podrapał się w głowę swoim słynnym gestem ze „Śmierci komiwojażera”.

- Duma jej na to nie pozwala - stwierdził.

- Myślę, że masz rację.

Emmett westchnął i chyba po raz pierwszy, od kiedy Ron go znał, poważnie się zafrasował.

- Może rzeczywiście mieć ochotę, żeby na mnie poskarżyć - zmartwił się. - Chociaż sędzę, że to był blef. Ta kobieta ma zasady. Można to stwierdzić po jej dykcji.

- No i po tym, że nie chce wziąć pieniędzy.

- Właśnie, właśnie - przytaknął w zamyśleniu Emmett.

- Co o niej wiesz?

Ron położył dziennik na stole i pochylił się w stronę dziadka.

- Wygląda na to, że ma kłopoty finansowe - zaczął Ron.

- Prowadzi pracownię fotograficzną i jednocześnie musi zajmować się synem. Zdaje się, że traktuje tę rolę bardzo poważnie. - Ron specjalnie użył tego określenia. Emmett doskonale rozumiał, co znaczy „poważne traktowanie roli”.

Dziadek tylko pokiwał głową.

- Szczęśliwe dziecko.

- Dlatego właśnie obawiam się, że może złożyć zażalenie - stwierdził Ron. - Jest bardzo opiekuńcza i zależy jej na szczęściu syna.

Emmett rozłożył ręce.

- No cóż, zrobiłeś, co mogłeś. Teraz niech decyduje Los

- powiedział, kładąc akcent na ostatnie słowo.

- Chcesz ryzykować...? - zaczął Ron, ale Emmett przerwał mu gwałtownym gestem.

- Potrafię się o siebie zatroszczyć!

- Naprawdę tak myślisz? - spytał z powątpiewaniem Ron, a na twarzy Emmetta pojawił się złośliwy uśmiech.

- Zdaje się, że Bernice zawsze przesadza, kiedy o mnie idzie. Może dlatego, że jest jedynym dzieckiem, córeczką tatusia. A ty, zdaje się, widzisz mnie głównie jej oczyma.

Ron skurczył się na swoim miejscu.

- Hm, można powiedzieć, że tak jest w istocie - powiedział niezbyt pewnie.

Wzrok Emmetta wyostrzył się, kiedy spojrzał na wnuka. Ron nie miał pojęcia, czy dziadek gra, czy w tej chwili mówi zupełnie serio. Jednak zdrowy rozsądek kazał mu przyjąć to drugie rozwiązanie.

- Posłuchaj, Ron. Naprawdę staram się widzieć siebie takim, jakim jestem w istocie. Jestem starym komediantem, który za bardzo lubi swój fach, żeby z niego rezygnować. Wygłupiam się. Nie jestem poważny. Coraz częściej zapominam o różnych rzeczach. Ale jak dotąd jakoś sobie radzę. Poradzę sobie i z Bickelem.

- Czy to znaczy, że mam uważać sprawę za zamkniętą? - spytał Ron.

- Jesteś tym rozczarowany?

- Nie, dlaczego?

- Takie sprawiasz wrażenie. Ron tylko wzruszył ramionami.

- To wcale nie jest zabawne: błagać piękną kobietę o litość.

Emmett pokręcił głową.

- Z moich doświadczeń wynika, że jest - stwierdził. - Tyle że kobieta musi być naprawdę piękna.

Ta jest, pomyślał Ron. Jednak głośno powiedział coś innego:

- Ja w każdym razie mam dosyć tej zabawy.

- Oj, nie byłbym tego taki pewien - podkpiwał dalej Emmett. -

Ostatnio zachowujesz się dosyć dziwnie.

Ron spojrzał na niego z urazą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Emmett milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy w ogóle zaczynać ten temat.

- Zwykle jesteś pewny siebie, nadęty i nieznośnie optymistyczny - stwierdził w końcu. - Uważasz, że wszystko jest po to, żeby ci służyć.

- O Boże, przecież to samo można powiedzieć o tobie! - wykrzyknął Ron.

Emmett skinął dostojnie głową.

- Wiem. I jestem z tego dumny. Ale wracając do ciebie, od przedwczoraj zachowujesz się inaczej. Zauważyłem nawet, że zacząłeś wzdychać. Zwykle też nie masz problemów z pisaniem. Tekst ucieka ci spod palców, kiedy stukasz na tym swoim laptopie. Tymczasem dzisiaj zasiadłeś tutaj z kajetem i zwykłym piórem i napisałeś tylko parę zdań. I w dodatku połowę skreśliłeś!

Ron nie przypuszczał, że dziadek ma taki dobry wzrok.

- Mówiłem ci już, że dziennik to co innego - argumentował.

- A ja to doskonale rozumiem - podjął Emmett. - Zachęcam cię tylko, żebyś zastanowił się nad swoimi motywami i swoim życiem. Masz już przecież trzydzieści lat i tak naprawdę sam nie wiesz, co naprawdę chcesz

robić. Aha, i możesz mnie przestać traktować jak ciekawy przypadek geriatryczny.

Ron zrobił minę skrzywdzonego dziecka, niemile uderzony słowami dziadka. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nim poważnie. Skąd Emmett mógł wiedzieć, że nie uważa dziennikarstwa za swój główny cel w życiu? Że zaczął mieć go dość mimo sławy, jaką udało mu się osiągnąć? Że tak naprawdę niewiele już miał do powiedzenia?

Emmett wstał i podszedł do wnuka. Pogłaskał go po głowie, jak w czasach kiedy Ron przychodził do niego po pomoc lub poradę.

- Może warto zająć się tą Jeanne Trent niezależnie od mojej pracy - zasugerował. - Może to jest akurat ktoś dla ciebie, Ronnie.

Ron tylko wzruszył ramionami.

- I co z tego, że się nią staram zająć, skoro ona mnie obraża. Zresztą tak samo jak ty.

Emmett tylko pokiwał głową.

- Wiesz, zwykle obrażamy osoby, na których nam zależy. I to tylko dlatego, że mówimy im prawdę - stwierdził, kiwając głową. - Obcych i nieważnych nie ma sensu obrażać. Lepiej mówić im gładkie kłamstwa.

Ron tylko pokręcił głową.

- Nie, nie, znam życie z doświadczenia. I potrafię o nim pisać - ciągnął głośno jakiś swój wewnętrzny monolog. - Poza tym osiągnąłem sukces.

- Powiedziałaś jej o tym?

- Coś tam słyszała - stwierdził Ron. - Ale nie wydaje mi się, żeby czytała moje teksty. Mam wrażenie, że nie interesuje jej wielki świat, a raczej jej prywatne sprawy.

- To musi być wspaniały dom w czasie świąt - powiedział w zadumie Emmett.

W tym momencie Ron przypomniał sobie ciepły kobiecy salonik, choinkę w kącie. Oczywiście wyobraźni zobaczył niewielką rodzinę zebraną przy drzewku. I chyba dopiero teraz zrozumiał, o co tak naprawdę chodzi Jeanne Trent.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ron spotkał Emmetta w stroju Świętego Mikołaja, a także sklepową fotografkę, pulchną rudowłosą dziewczynę po dwudziestce, w pobliżu bieguna północnego. Ron już od dawna podejrzewał, że dziewczyna niespecjalnie interesuje się fotografią, sądząc choćby ze sposobu, w jaki obchodziła się ze sprzętem.

Natychmiast pomyślał też o Jeanne Trent. Miał wszelkie powody, żeby sądzić, że jest doskonała w tym, co robi. I że w ogóle jest doskonała we wszystkim.

Emmett przywitał go radośnie. Właśnie pojawiły się przy nim dwa kształtne elfy, w których towarzystwie przyjmował dzieci.

- No i co tam, Ron? Dlaczego jesteś taki ponury? Ron zbliżył się bardziej do dziadka.

- Nie boisz się Bickela? - spytał.

- Nie. I tobie radzę też o nim zapomnieć - powiedział z uśmiechem Emmett. - Przynajmniej zaoszczędziłeś sto dolarów. Znam twoje skąpstwo. Wiem, że się cieszysz.

Ron nie posiadał się z oburzenia.

- Co?! Co takiego?! Co chcesz przez to powiedzieć?!

Nie wtajemniczone w sprawę dziewczyny roześmiały się głośno.

Ron był wściekły. Dlatego postanowił odwdziżyć się Emmettowi za to pomówienie.

- Zdaje się, że nie kupiłem ci jeszcze prezentu świątecznego - stwierdził.

Emmett chciał coś odpowiedzieć, ale już czekała na niego kolejka małych interesantów, najczęściej z mamusiami lub babciami.

Ron zaczął krążyć wściekły po sklepie. Co by tu kupić? Koniecznie coś takiego, co rozwścieczyłoby Emmetta. Może miskę, w której mógłby wymoczyć nogi? Ron znalazł odpowiednią, a następnie przedfilował z nią przed biegunem północnym. Gdy zauważył, że dziadek na niego patrzy, wykonał gest w stronę jego nóg, a następnie miski.

- O nie, nie! - jęknął Emmett.

Zadowolony z efektu Ron postanowił wysilić wyobraźnię i kupić Emmettowi jeszcze kilka „prezentów”. Zaczął więc wyszukiwać coraz bardziej tandetne i niepotrzebne rzeczy: wielki zegar okolony słonecznymi promieniami, stojak na buty w kształcie małpy, a w końcu telefon z Myszką Miki. Zgnębiony Emmett przestał w pewnym momencie interesować się jego poczynaniami i powrócił do swoich obowiązków.

Ron postanowił jeszcze zajrzeć do działu gier. Rozgrzany dotychczasowymi zakupami, zapragnął poszukać czegoś, co pozwoliłoby mu zabić czas w podróży. Przecież tak często wyjeżdżał i nudziło mu się w poczekalniach, samolotach i pociągach.

Przy stoiskach tłoczyły się dzieciaki. Ich rodzice obserwowali pociechy z pewnego oddalenia. Ron zanurzył się w ten mały tłum i powoli

przeprowiał się do półek. Dzieci przeglądały gry, najczęściej jednak odkładały szybko zabawki. Przy jednej z półek, gdzie, o dziwo, było sporo miejsca, stał tylko jeden chłopczyk i bez przerwy pociągał za sprężynkę przy jakiejś tradycyjnej, wcale nie elektronicznej grze.

- Fajna? - spytał Ron, zaglądając mu przez ramię.

- Może być - padła odpowiedź.

Był to rodzaj kieszonkowego bilardu, z kulkami, które musiały trafić w odpowiednie miejsca.

- Gdzie się podziewasz, Pete?!

Słyszając ten głos, obaj odwrócili się w stronę kobiety, chociaż przypuszczalnie tylko jeden z nich nazywał się Pete.

- Bawię się, mamó.

Chłopiec podszedł do wózka, przy którym stał jego starszy brat. Młodszy, jak wynikało z jego słów, spał w wózku. Kobieta spojrzała na Rona, a następnie cofnęła się jakby z przestraszeniem. Wkrótce jednak na jej twarz powróciła obojętność.

Ron przyjrzał się nieznanemu. Była zupełnie bezbarwna, chociaż zapewne jeszcze dość młoda. Z trudem przyszłoby mu zgadnąć, w jakim jest wieku. Nie miała makijażu, a ciepła jesionka ukrywała jej kształty.

- Pamiętaj, że nie wolno ci odchodzić - ciągnęła kobieta.

Chłopczyk kiwał posłusznie głową. Jego matka znowu spojrzała na Rona i w jej oczach znowu pojawił się strach. A może mu się tylko tak wydawało. Ron poczuł, że musi wyjaśnić swoją rolę w zajściu.

- Chciałem go tylko zapytać o tę grę - powiedział więc, wskazując plastikowe pudełeczko, które malec zostawił na półce. - Myślałem o tym, żeby kupić ją innemu dziecku.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie.

- Ale chyba nie własnemu?

Skąd one wszystkie wiedzą, że nie ma dzieci? Czy to możliwe, żeby miał to wypisane na twarzy?

Ron przyjrzał się jeszcze raz kobiecie: jej bladej twarzy, niemodnej fryzurze i rozbieganym oczom. Coś nagle zaczęło mu świtać. Kobieta nie bała się, że jest zboczeńcem, tylko że ją rozpozna.

- Elaine? - szepnął.

Uśmiechnęła się do niego niezbyt pewnie.

- Tak - powiedziała z lekkim grymasem. - Tak, to ja.

Ron spojrział na nią z obawą. Przypomniawszy sobie ich ostatnią rozmowę. Właśnie wtedy musiał wybrać między studiami w Los Angeles a Elaine. Wówczas pragnął poznać świat. Pożerała go ciekawość. Oczywiście, Elaine nie była z tego zadowolona. Proponował, żeby do siebie pisali, ale ona nie chciała.

- Dawno cię nie widziałem - zagaił niezbyt mądrze.

- Dwanaście lat - stwierdziła. - A w zasadzie jedenaście i pół.

Dwanaście będzie na wiosnę.

Spojrzał na jej dzieci. Dwójka przy wózku była czarnowłosa. Natychmiast też wyłuskał z przepaścistej pamięci faceta, który wtedy kręcił się przy Elaine. Jak on się nazywał? Zdaje się, że Tony, Tony Rosetti.

- Masz trójkę dzieci? - spytał.

- Piątkę - poprawiła go. - Dwóch starszych chłopców chodzi już do szkoły.

Ron raz jeszcze przyjrzał się trójce drobiazgu.

- Samych chłopców? - zdziwił się.

- Tak się złożyło - powiedziała z wymuszoną wesołością. - Oczywiście, fajnie byłoby mieć dziewczynkę.

- Jasne. Zawsze lubiłaś się pięknie ubierać. To dziecko byłoby... - urwał w pół zdania, widząc, że oczy Elaine zachodzą mgłą. - Fajne - dokończył niezbyt fortunnie.

Chciał powiedzieć, że córka Elaine byłaby pewnie ubrana jak księżniczka. Wystarczyło jednak spojrzeć na jesionkę Elaine, jak i na powycierane ubranka jej dzieci, żeby zrozumieć, że nie powodzi jej się zbyt dobrze.

- Czasami myślę o tobie - powiedział Ron. - Zastanawiam się, czy jesteś szczęśliwa.

- Naprawdę? - Rozluźniła się nieco. - Wiesz, ja nie bardzo mam czas, żeby o tym myśleć, ale chyba jestem. Tony i dzieciaki to całe moje życie. Dają mi wszystko. Oczywiście mamy trochę kłopotów, głównie finansowych...

- Mamo, nos Bobby'ego - odezwało się po raz pierwszy najstarsze z dzieci.

Elaine skinęła głową. Natychmiast też wyjęła z bocznej kieszeni wózka ligninową chustkę i wytarła nos maleństwa.

- Przeziębł się trochę - wyjaśniła. - Nie wiadomo, jak go teraz ubierać. Starsze dzieci mogą rozpiąć ubranka, jak im jest gorąco.

Elaine urwała nagle i spojrzała na Rona.

- Takie rodzinne sprawy muszą cię strasznie nudzić, prawda? - raczej stwierdziła, niż spytała.

Ron wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem - powiedział.

I to była prawda. Po prostu nie wiedział.

- Oczywiście czytałam twoje zbiory reportaży - rzuciła szybko. - Są naprawdę świetne. Jakbym słyszała twój głos. Pierwsza osoba liczby pojedynczej doskonale do ciebie pasuje.

- Cieszę się, że potrafisz znieść mój głos. W odpowiedzi Elaine tylko machnęła ręką.

- Daj spokój, Ron. Przecież nie będziemy żywić do siebie urazy po tych wszystkich latach.

Wymienili uśmiechy. Dzieci przy wózku chyba zdawały sobie sprawę z niezwykłości tego spotkania, bo wcale im nie przeszkadzały. A może po prostu były dobrze wychowane?

- Dzięki, Elaine. Wiesz, czasami zastanawiałem się, czy w ogóle powinienem był wyjeżdżać i zostawiać cię tutaj - wyznał.

Tylko potrząsnęła głową. Zarumieniła się przy tym tak pięknie jak w dawnych czasach.

- Nie mów głupstw! Jasne, że powinienesz był wyjechać! Nigdy nie byłbyś zadowolony, gdybyś tutaj osiadł!

Musiała chyba przemyśleć gruntownie całą sprawę. I to pewnie jeszcze wtedy, kiedy ją zostawił.

- A jak się miewa Tony? - spytał.

- Dobrze - odparła. - Ostatnio musiał dużo pracować. Udało mu się jednak otworzyć, do spółki z sąsiadem, własny zakład naprawczy na północy Minneapolis.

Ron pokiwał głową. Przypomniawszy sobie, jak Tony zreperował kiedyś na jego prośbę motor, a on zaraz potem zabrał na nim Elaine za miasto. Bogu dzięki, że mu nie pomachali, bo teraz byłoby mu potwornie głupio.

- Zdaje się, że zawsze o tym marzył.

- Ale przez długi czas to były tylko marzenia - westchnęła Elaine. -
A co ty robisz w St. Paul, Ron? Zdaje się, że mieszkasz w Los Angeles?

- Pamiętasz Emmetta? Mojego dziadka. Osiedlił się w St. Paul.

Elaine uśmiechnęła się radośnie.

- Emmetta? No jasne! Często się zastanawiam, czy jeszcze grywa w teatrze.

Ron zerknął w kierunku bieguna północnego. Emmett był stąd słabo widoczny, ale można go było jednak zobaczyć.

- To jego popisowa rola - powiedział, wskazując dłonią w tamtym kierunku. Miał przy tym nadzieję, że dzieci nie zorientują się, o co chodzi. Nie zwracały zresztą na nich uwagi i zaczęły przeglądać zabawki.

- No popatrz, jaki ten świat mały.

- Zajrzyj do dziadka - zachęcił ją Ron. - Na pewno się ucieszy.

- Jasne. Dzieciaki też.

Ron dotknął delikatnie jej dłoni.

- Miło cię było spotkać.

- Do licha, mogłeś się pokazać na jakimś klasowym spotkaniu! -
powiedziała z wyrzutem. - Przynajmniej bym się umalowała i wyglądała
trochę lepiej!

- I tak wyglądasz świetnie - zapewnił ją.

Uśmiechnęła się blado, odciągnęła dzieci od półek i ruszyła w dalszą drogę. Natomiast Ron pomyślał, że zamiast kupować obrzydliwe prezenciki dla Emmetta, może zrobić coś naprawdę dobrego.

Odstawił więc wszystko na półki, z wyjątkiem miski, i wybrał się do kasy, przy której siedziała Lenora. Właśnie z nią, nie wiedzieć czemu, Emmett miał najwięcej utarczek. Nawet nie z Bickelem, którego szczerze nie znosił. A przecież Lenora była inteligentna i potrafiła być naprawdę

miła, kiedy, tak jak teraz, uśmiechała się do klientów. Jednak na widok Rona uśmiech zniknął z jej warg.

- Kupiłeś Emmettowi tę miskę? - spytała kwaśno. - Znakomity prezent. Coś jeszcze?

Ku jej zaskoczeniu Ron skinął głową.

- Co takiego?

- Popatrz w kierunku bieguna północnego - powiedział. Jakby nie robiła tego co najmniej kilkadziesiąt razy dziennie! Podniosła jednak głowę i zerknęła we wskazaną stronę.

- Widzę tylko głupka w czerwonym kostiumie - stwierdziła cierpko.

- A obok? Nikogo nie ma obok?

- Kobieta w jesionce z dwójką dzieci - powiedziała Lenora.

- Z trójką - poprawił ją. - Trzecie jest w wózku.

- Rzeczywiście.

Ron wyjął z kieszeni wysłużoną kopertę, którą poprzednio usiłował przekazać Jeanne Trent.

- Daj jej jakoś te pieniądze - poprosił. - Najlepiej będzie, jeśli powiesz, że to nagroda.

- Nagroda? Za co? - zdziwiła się Lenora.

- Czy ja wiem, za najbardziej szarą jesionkę - myślał głośno Ron. - Ona ma pięcioro dzieci, więc nie będzie zbyt głęboko wnikać w całą sprawę.

Lenora zastanawiała się przez chwilę, a potem skinęła głową. Zdobyła się nawet na to, żeby uśmiechnąć się do Rona. Wciąż jednak nie była zdecydowana.

- Nigdy nie robiłam czegoś takiego - powiedziała z wahaniem. - Nie wiem, czy mogę...

- Po trzydziestu latach przy kasie powinnaś spróbować czegoś nowego. Zwłaszcza w czasie świąt. W razie czego biorę wszystko na siebie.

- Dobrze. Możesz na mnie liczyć - obiecała. - Ale idź już, bo inni klienci też chcieliby zapłacić.

Dochodziło pół do trzeciej. Ron zaparkował wynajęty samochód przed parterowym domkiem Jeanne Trent. Przypominał on kształtem inne pudełkowate domki z tej ulicy, ale różnił się od nich szczegółami. Przede wszystkim miał pomalowane na biało okiennice, a także ręcznie wykonane poręcze przy schodach i miło wyglądający chodniczek prowadzący do wejścia.

Jednak najwspanialszą ozdobę swojego domu stanowiła sama Jeanne. Stała właśnie przed furką w dżinsach i błękitnej ciepłej kurtce.

W nocy i rano napadało sporo śniegu, dlatego Jeanne kończyła teraz odśnieżanie. Został jej już tylko kawałek chodnika przed domem. Zapewne zauważyła wcześniej samochód Rona i dlatego przerwała pracę.

Ron wysiadł i natychmiast poślizgnął się na ulicy. Złapał jednak równowagę i spojrzał w stronę Jeanne. Nie śmiała się. Czekwała na niego w napięciu, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

Ron spojrzał na domek i jego właścicielkę. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo chce tu być. Nie wiedział, że pragnie dzielić życie z tą kobietą. Jednak teraz te prawdy dotarły do niego w całej pełni.

Jeanne spojrzała na niego z niechęcią.

- Wróciłeś - powiedziała.

- Tak.

- Nie spodziewałam się ciebie.

To oczywiste! On też nie spodziewał się, że wróci jeszcze do tego domu. Jadąc tu, miał nawet parę razy ochotę skręcić i pojechać gdzie indziej.

Prawdopodobnie gdyby nie spotkanie z Elaine, nie przyjechałby tutaj. Wyjechał z St. Paul prawie dwanaście lat temu w poszukiwaniu przygód. Później już nigdy nie myślał o tym, żeby związać się z jakąś kobietą. Aż do tej chwili.

Jednak Jeanne, która nic o tym nie wiedziała, była bardzo podejrzliwa. Widział to po jej minie, chociaż nic nie mówiła.

- Obiecałem ci, że zajmę się sprawą Toby'ego - powiedział na początek.

- I jaki jest rezultat? - spytała.

- Mam już wstępny plan - oświadczył Ron. - Przywiozłem coś, co może mu się spodobać.

- Dziesięć dni przed świętami?! Myślisz, że Toby nie wie, co chce dostać? W tej dziedzinie jesteś zupełnym amatorem!

Ron wyjął pakunek z kieszeni kurtki i wyciągnął go w stronę Jeanne.

- Przecież nie mówiłem, że ma to zastąpić jego prezent. Uznałem jedynie, że może się mu spodobać.

Ron zaczynał marznąć. Przystąpił niecierpliwie z nogi na nogę i znowu się poślizgnął. Jeanne spojrzała na niego niepewnie, ale w końcu się uśmiechnęła.

- O Boże, ci faceci z Kalifornii! Chodź do domu, bo zamarzniesz. Później dokończę odśnieżanie.

Ron schował pakunek do kieszeni i podążył za Jeanne. Dopiero w domu wyciągnął go po raz drugi.

- Przynajmniej zajrzyj do środka - poprosił.

- Chyba mogę - zawahała się. - Tobi teraz śpi. Jeszcze mu się to czasami zdarza. Dzisiaj był rano na sankach, więc się zmęczył.

- No, zajrzyj - nakłaniał ją Ron. Zachęcona zajrzała do środka.

- Fajne - przyznała na widok bilardu. - Może mu się spodobać.

Ron uśmiechnął się, a następnie chuchnął w zmarznięte dłonie.

Najwyższy czas kupić sobie rękawiczki. Najwyżej zostawi je Emmettowi, wyjeżdżając. Zresztą mogą mu się też przydać w czasie którejś z wypraw.

Jeanne zerknęła na niego niepewnie.

- Napijesz się herbaty? - spytała.

- Bardzo chętnie - odparł, zacierając ręce.

Pozwoliła mu zdjąć kurtkę i przejść z przedpokoju do kuchni. Tam posadziła go za stołem. Najpierw podała wielki talerz świątecznych pierniczków, a następnie kubek z parującym napojem.

- Te pierniczki nam nie wyszły - wyjaśniła. - Reszta bardziej udanych czeka na święta.

Ron spróbował pierniczka. Był jeszcze dosyć twardy, ale bardzo smaczny.

- Można je moczyć w herbacie - powiedziała.

Pokręcił przecząco głową. Jeanne patrzyła na niego z wyraźnym zaciekawieniem. Widać było, że Ron się nią interesuje, a ona od czasów Davida nie spotykała się praktycznie z żadnym mężczyzną spoza rodziny.

- I co? Wypatrzyłaś coś? - spytał. Zarumieniła się lekko.

- Przepraszam, że tak się gapię. Po prostu zupełnie się ciebie nie spodziewałam.

Nagle poczuła ochotę, żeby go dotknąć i sprawdzić, czy jest prawdziwy. Szybko więc wyciągnęła rękę i poczuła pod palcami jego

policzek. Miała wrażenie, że wsadziła rękę w ogień. Nie, Ron nie był urojeniem.

Ron z kolei poczuł, że z trudem oddycha. Nie spodziewał się, że Jeanne go dotknie. To przecież była jego stara sztuczka, dzięki której doprowadzał kobiety do stanu wrzenia.

- Świetnie mi się wczoraj grało z Tobym - rzucił bez związku.

- Zdemolowaliście mi salon - westchnęła. - Dobrze, że nic się nie stało choince!

- Uważaliśmy na nią. Ta choinka przypomina mi święta w rodzinnym domu. Świąteczne śniadanie i zabawę prezentami przy kominku.

Jeanne westchnęła raz jeszcze.

- Pewnie bardziej byś mi się wtedy podobał - stwierdziła, nie patrząc na niego.

- A teraz? Teraz ci się nie podobam?

- Muszę przyznać, że mogłam sprawiać wrażenie, iż chodzi mi o pieniądze - powiedziała wymijająco. - Wtedy, w sklepie, mówiłam chyba, że mnie nie stać na takie wydatki i że to mnie zrujnuje, albo coś w tym stylu.

Ron skinął głową. Doskonale pamiętał ich pierwszą rozmowę.

- Chciałbym jakoś załatwić całą sprawę... Wynagrodzić Toby'emu... - tłumaczył.

Jeanne potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że jedyną osobą, która jest w stanie cokolwiek tutaj zrobić, jest twój dziadek - powiedziała. - Powinnam od razu na początku to wyjaśnić. Uniknęlibyśmy dzięki temu całej tej historii.

Ron nie był pewny, czy chciałby uniknąć „całej tej historii”. Poza tym miał nadzieję, że potrafi jakoś zaradzić zaistniałej sytuacji.

- Może jednak spróbujemy coś zrobić - zaproponował. - Razem będzie nam łatwiej.

Jeanne tylko ze smutkiem pokręciła głową.

- Chyba nie ma sensu - powiedziała. - To nasze pierwsze święta bez mojego męża. Toby pamięta jeszcze swojego tatę i jak nam było razem fajnie.

Ron milczał przez chwilę. W końcu jednak zadał to pytanie, które męczyło go od dawna.

- A co się stało z twoim mężem?

Jeanne przesunęła ręką po twarzy, jakby była bardzo, bardzo zmęczona.

- Zginął w wypadku - odparła. Dopiero po chwili zaczęła mówić dalej: - Zajechał do restauracji, żeby zamówić dla nas obiad. Długo czekał, a potem się spieszył. Drogi były śliskie. Styczeń...

Ron położył rękę na jej dłoni.

- Tak mi przykro.

- Nie potrzebuję współczucia. Mieliśmy z Tobym ciężki rok, ale jakoś się z tym uporaliśmy. I teraz tylko te święta...

- Może jednak udałoby się spełnić pragnienia Toby'ego bez naruszania domowego budżetu? - spytał Ron. Właśnie z tym tutaj przyszedł. Chciał namówić Jeanne, żeby dowiedziała się, jakie są życzenia jej syna.

Jeanne tylko wzruszyła ramionami.

- Sądzisz, że o tym nie myślałam? Niestety, Tobi zrobił się bardzo skryty od śmierci ojca. Nie chce mi zdradzić, jakie ma życzenia. Mówi, że to niespodzianka.

- Może jednak udałoby nam się czegoś dowiedzieć - myślał głośno Ron.

Jeanne poczuła, że jej serce zabiło mocniej. Powiedział „nam”. Tak dawno nie słyszała już tego słowa.

Ron chciał się też dowiedzieć czegoś jeszcze o małżeństwie Jeanne. Zastanawiał się, czy to dobra chwila, żeby o to pytać, i stwierdził, że chyba nie, ale lepsza może się już nie zdarzyć.

- Długo znałaś swojego męża? - spytał. Ciepły uśmiech wykwitł na jej twarzy.

- Całe życie - odparła. - Nasze rodziny się przyjaźniły. To była taka szczenięca miłość, która przerodziła się w coś głębszego. Czasami tak bywa, ale pewnie rzadko.

Ron skinął głową. Pomyślał, że to podobnie jak on i Elaine. Znali się przecież od podstawówki.

- Zwłaszcza święta mieliśmy wspaniałe - rzuciła na koniec Jeanne.

- Mogę to sobie wyobrazić - stwierdził Ron.

- A twoje? Twoje święta? Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jakie były twoje święta? - zadała pełne pytanie. Ron zamyślił się na chwilę.

- Kiedyś rodzinne i tradycyjne, tak jak twoje - odparł. - Zwłaszcza dziadek był wspaniały. Potem, w karnawale, przynosił nam kostiumy z teatru. Prawdę mówiąc, miałem bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Rodzice mnie trochę psuli.

Pewnie nie tylko rodzice, pomyślała, patrząc na jego urodziwą twarz.

- Więc dlaczego stąd wyjechałeś?

- Być może moi rodzice popełnili błąd, rozbudzając moje ambicje - stwierdził. - Zresztą sam chciałem odkryć świat, zdobyć go...

- I zdobyłeś? - wpadła mu w słowo.

- Zawsze mogłem ścigać jakąś tęczę - odparł. - Pisałem o tym w moich książkach.

- A znalazłeś swój garnek ze złotem?

Ron wyjrzał za okno, do niewielkiego ogródka, w którym stał bałwan.

- Trudno mi powiedzieć. Gdybym przyznał, że tak, pewnie pomyślałabyś, że jestem jak ten bałwan - stwierdził, wskazując za okno. - Czasami wydaje mi się, że najważniejsze jest samo szukanie. Ale tak naprawdę nigdy nie wiadomo, czy szukamy we właściwym miejscu.

Jeanne zaprzeczyła impulsywnie.

- Czasami wiadomo - rzuciła.

Ron spojrzał na nią. Brakowało mu jej pewności, jej wiary w to, że znalazła swoją ścieżkę w życiu. Sam był na rozdrożu i boleśnie zdawał sobie z tego sprawę.

- No cóż, ja w każdym razie ciągle szukam - oświadczył. - A ludzie czytają to, co piszę, i im się podoba.

- Bo może oni też szukają - powiedziała, ale szybko się zreflektowała. - Daj spokój, nie przejmuj się tym, co mówię.

I nie powinieneś się obrażać z powodu głupstw, które wygaduję.

Gdyby Ron miał pewność, że rzeczywiście są to głupstwa, na pewno by się nimi nie przejmował.

- Poza tym moja siostra słyszała o tobie. Chyba nawet coś czytała - dodała Jeanne, widząc jego zgnębioną minę.

Ron próbował się uśmiechnąć.

- Chętnie poznałbym twoją siostrę. A z kolei Emmett chętnie spotkałby się z tobą. Spodobał mu się twój głos - stwierdził.

Jeanne nie wyglądała na zachwyconą tą perspektywą.

- Owszem, pod warunkiem, że włoży kostium Świętego Mikołaja.

Ron postanowił milczeć w tej kwestii. Jednak w Jeanne jakby wstąpiły nowe siły.

- Zaraz, zaraz - powiedziała. - Przecież Toby zdradził mu swoje sekrety. Może gdyby go zobaczył, przypomniałby sobie, czego chciał.

Ron bez trudu domyślił się, kto ma sobie co przypomnieć.

- Sądzisz, że o tym nie pomyślałem? - Uśmiechnął się gorzko. - Pytałem Emmetta, ale mówi, że nic nie pamięta i że spotyka mnóstwo dzieci. Ale wydaje mi się, że skleroza też robi swoje.

- Zaraz, ale przynajmniej ma list Toby'ego! - wykrzyknęła Jeanne.

Ron pokręcił głową.

- Wszystkie listy trafiają do działu marketingu. Na ich podstawie dokonuje się analizy potrzeb i ustala strukturę zakupów w następnym roku.

Jeanne westchnęła. Za dużo tych westchnień jak na jedną rozmowę.

- Więc nic się nie da zrobić - stwierdziła ze smutkiem.

- Mógłbym spróbować pogadać z Tobym - zauważył Ron. - Może powierzyłby mi swój sekret. Oczywiście powinienem wcześniej jakoś bliżej poznać twoją rodzinę.

Zmarszczyła czoło w głębokim namyśle.

- Nie ma sensu przedstawiać cię rodzinie bez prawdziwego powodu - oznajmiła po chwili.

Ron stropił się nie na żarty.

- Myślisz, że by mnie nie zaakceptowali?

- Wręcz przeciwnie. Najchętniej od razu na wstępie skuliby nas kajdankami i kazali spać w jednym łóżku.

Wzmianka o łóżku, która oczywiście miała być żartem, zabrzmiała nagle jakoś szalenie poważnie i... kusząco. Oboje spłoszyli się i starali nie patrzeć w swoją stronę. Ron zaczął się zastanawiać, czy nie zapadł przypadkiem na jakąś chorobę psychiczną, bo do tej pory nie należał do ludzi nadmiernie wstydliwych.

- Hm - chrząknął Ron. - Chętnie przyniosę własne kajdanki. Mogę przyjść na kolację.

- Kiedy?

- Od jutra rana aż po kres mego życia - powiedział i spojrzał jej poważnie w oczy.

- Zaraz, sama nie wiem. Jutro spotykam się z Potterami. Gdybyś miał ochotę poznać moją kochaną rodzinę... - zawiesiła głos. - To mama była z Tobym w sklepie. Ale nic jej nie mówiłam o późniejszych perypetiach. Jeśli więc chcesz chronić Emmetta, radziłabym zachować całą rzecz w tajemnicy.

Ron przytaknął gorliwie.

- Jasne. O której mam być?

Jeanne spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie sądziła, że aż tak się nią interesuje. Przecież sam powiedział, że ciągle szuka i że to szukanie jest dla niego największą wartością. Jeśli więc miała zamiar zacząć romans, dokonała wyboru najgorszego z możliwych.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Hej, to znowu ty, Ronny! - ucieszył się Toby na widok starego znajomego.

Nie zdradzał oznak senności. Wręcz przeciwnie, był ożywiony i pełen energii, jakby za chwilę mieli rozegrać kolejny mecz baseballowy.

- Cześć, stary! - przywitał się z nim Ron.

Toby nie mógł ustać w miejscu. Wciąż krążył po kuchni, jakby czegoś szukał.

- Dlaczego przyszedłeś? Ron podrapał się w głowę.

- Po pierwsze, przyniosłem ci prezent.

Toby nie czekał na „po drugie”. Mały kieszonkowy bilard okazał się strzałem w dziesiątkę. Natychmiast zafascynował chłopca. Do tej pory znał tylko elektroniczne gry, gdzie wszystko działo się na ekranie.

- Mogę się napić, mam?! Zanim przyjdzie Fu-Fu? - spytał znad gry.

Jeanne sięgnęła po kubek, do którego naląła soku jabłkowego.

- Proszę bardzo. .

- Więc jednak się z kimś spotykasz - zauważył Ron. - A już myślałem, że jesteś zupełnie samotna.

- Fu-Fu to zwierzak - wyjaśniła. - Chyba poznałeś mnie na tyle, żeby wiedzieć, że nie wymyśliłabym podobnego imienia dla mężczyzny.

- Zwierzak? Dwunogi i przystojny?

- Fu-Fu to pies, głupku - rzucił zajęty zabawką Toby. - Taki pudel!

- Toby, ile razy mówiłam ci, żebyś nie zwracał się w ten sposób do dorosłych! - skarciła ostro syna Jeanne.

Chłopiec natychmiast się spłoszył.

- Przepraszam. Nie chciałem.

Ron pomyślał, że tak naprawdę to zasłużył sobie na ten epitet, ale nic nie powiedział. Zresztą cała sprawa męczyła go w dalszym ciągu.

- Czy ten Fu-Fu przychodzi sam? - pociągnął temat. - Czy może ktoś go przyprowadza?

Jeanne spojrzała na niego złym wzrokiem.

- Nie, Fu-Fu przyprowadza Eddiego - pospieszył z wyjaśnieniami Toby.

- Czyli emerytowanego generała Edwarda Chambersa, który robi sobie zdjęcie dwa razy do roku ze swoim ulubieńcem - dodała Jeanne. - Zresztą, wbrew pozorom, to generał przyprowadza Fu-Fu.

Ron chrząknął i spojrzał w stronę drzwi. Wcale nie miał ochoty stąd wychodzić.

- To znaczy, że będziesz pracować - zauważył.

- Ale Toby chętnie się tobą zajmie. Proszę tylko, żebyście nie zdemolowali mieszkania.

Toby zrobił niewinną minę.

- Nie, nie. Ronny się o to postara - powiedział. Matka pogroziła mu palcem.

- Byle nie tak, jak ostatnim razem. Oczywiście, zapraszam cię - spojrzała na zegarek, a następnie na Rona - na kolację. A teraz muszę już iść przygotować sprzęt.

Wstała, żeby wyjść do pracowni. Nagła myśl oświeciła Rona. On też wstał.

- Zaczekaj, pomożemy ci!

Toby spojrział niezbyt pewnie na matkę, a następnie na nowego kumpla. Nie miał pojęcia, dlaczego chciał on rezygnować z fajnej zabawy na rzecz pracy. No, ale cóż, jeżeli ma takie życzenie.

- No jasne, pomożemy - powiedział bez entuzjazmu, zwlekając się ze swego miejsca.

Okazało się, że nie tylko pomogli w przygotowaniu pracowni, ale jeszcze przy ustawieniu generała. Ron nawet musiał się wczołgać za fotel, na którym siedział wojskowy, i położyć swoją dłoń na Fu-Fu, tak jakby była to ręka generała. Jednak poruszył się i Jeanne orzekła, że generał będzie miał na zdjęciu troje rąk. To z kolei bardzo rozbawiło fotografowanego.

- Niech tak zostanie! - wołał. - Wyobraźcie sobie, kochanieńcy, że u mnie w rodzinie nikt nie ma trzech rąk.

Toby wybuchnął śmiechem. Już nawet przestał się dziwić, że Ron wołał pracownię matki od baseballu.

Jeanne dopiero pod koniec sesji przypomniała sobie o kolacji. Miała przygotowane chilli w lodówce. Wystarczyło je tylko odgrzać. Poprosiła Rona, żeby zrobił to z Tobym.

Kiedy znowu znaleźli się w kuchni, Ron nie mógł się powstrzymać, żeby nie pociągnąć Toby'ego za język.

- No, a jak tam twoje życzenia świąteczne? - zagadnął malca. - Prosiłeś o coś Mikołaja?

Toby z powagą skinął główką.

- A o co?

- To tajemnica - powiedział. - Między mną a Mikołajem. Ron uderzył się dłonią w pierś.

- Jestem świetny, jeśli idzie o dotrzymywanie tajemnic - stwierdził. -
Mogą mnie przypalać żywym ogniem, a i tak nic nie powiem.

Toby raz jeszcze potrząsnął główką.

- Nie, Ronny. Idź sam do sklepu ze swoją babcią.

Ron poczuł się wystrychnięty na dudka. Nie miał pojęcia, co teraz powiedzieć. Pomogła mu Jeanne, która zajrzała do kuchni, nakarmiła Toby'ego, a następnie poprosiła, żeby Ron położył go do łóżka.

Zrobił to z prawdziwą przyjemnością. Kiedy w końcu Toby już leżał, Ron znowu postanowił porozmawiać o Mikołaju.

- Mikołaj ma strasznie dużo. roboty na święta - zaczął. - Wcale bym się nie dziwił, gdyby o czymś zapomniał.

Toby popatrzył na niego nieufnie.

- Zawiódł cię kiedyś? - spytał.

Ron przypomniał sobie Emmetta. I pomyślał tylko, że tak, i to wiele razy.

- Mnie nie, ale podobno zdarzyło się to w przypadku innych dorosłych - wyjaśnił Ron.

- Opowiesz mi o tym?

- Jak będziesz starszy - stwierdził Ron.

- Czyli jutro? - dopytywał się chłopiec.

- W każdym razie ważne jest, żeby życzenia dotarły do Mikołaja. Ja mógłbym mu przekazać twoje raz jeszcze.

Toby chyba zrozumiał opacznie jego słowa, ponieważ zerwał się z łóżka i podbiegł do półki z książkami. Natychmiast też wyjął z jednej z książek kopertę.

- Wyślesz to dla mnie? - poprosił chłopak. - Sam namalowałem znaczek.

Ron nawet nie podejrzewał, że sukces przyjdzie tak szybko. To było to, o co chodziło. Na kopercie Toby wypisał koślawymi, drukowanymi literami: BIEGÓN PUŁNOCNY, ŚFIENTY MIKOŁAJ.

Tak, to był list do Świętego Mikołaja, a znajdowało się w nim życzenie, bądź też życzenia Toby'ego.

- Jasne, że tak - powiedział Ron. - Jutro z samego rana. Możesz być pewny, że informacje dotrą do właściwej osoby.

- Właśnie. - Chłopiec ponownie ułożył się w łóżeczku i spojrzał na Rona dosyć tępym wzrokiem. Ron pogłaskał go po główce i po chwili Toby już spał, oddychając równym rytmem. Ron zaczął się zastanawiać, co właściwie robi w tym domu, który nie jest przecież jego domem.

Jeanne siedziała właśnie nad miską z chilli, kiedy wszedł do kuchni. Spojrzała na niego. Zaniepokoiło ją to, że patrzył tak jakoś triumfalnie. Zresztą, może się jej tylko zdawało. Generał, czy też, jak mawiał Toby, Eddie należał do dosyć uciążliwych klientów. Chciał wyglądać jak na pięć minut przed ważną bitwą, a niestety miał już je wszystkie za sobą.

- No i jak Toby? - spytała.

- Śpi - odparł. - A jak generał? Jeanne westchnęła głośno.

- Poszedł wreszcie. Przesyła podziękowania za dodatkową rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Ron.

- Zwłaszcza że nie chciał mi jej zabrać i wziąć do domu.

Jeanne była zbyt zmęczona, żeby się roześmiać, i uśmiechnęła się tylko nieznacznie.

- Widocznie nie uznał jej za wystarczająco atrakcyjną - stwierdziła.

Ron podniósł dłoń i dotknął jej włosów. Coś przypominającego wstrząs elektryczny przeszło jej ciało.

- A ty? Czy ty uznałabyś ją za atrakcyjną?

- Żeby odrąbać i zachować? - odpowiedziała pytaniem. Mimo sarkazmu czuła, jak jej opór mięknie i topnieje przy

Ronie. Tak dawno nie była w miłym męskim towarzystwie. Tak dawno nie miała okazji przytulić się do kogoś bliskiego. Teraz nadarzała się taka okazja.

Ron dotknął jej policzka, a następnie przesunął dłoń niżej. Poczowała jego palce na szyi. Potem pochylił się i musnął wargami jej usta. Zaczęła tracić poczucie rzeczywistości. Chciała być z Ronem i tylko z nim.

Jeanne przymknęła oczy. Czuła się podobnie jak z Davidem na ich pierwszej randce, kiedy wybrali się za miasto jego wysłużonym mustangiem. Jednak Ron w najmniejszym stopniu nie przypominał jej męża. Co więcej, wcale nie był w jej typie. Dlaczego więc nie protestowała?!

W końcu sam jednak odsunął się od niej. Widać było, że jest spięty. Zresztą ona czuła się podobnie.

- Powiniennem już iść - powiedział drżącym z emocji głosem.

Jeanne spojrzała na stojący na lodówce zegarek. Dochodziła jedenasta, a dla niej czas jakby się zatrzymał. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała, jak zareagować. Wciąż była wstrząśnięta tym, co się stało.

Ron też dostrzegł zegarek.

- Tak, najwyższy czas - powtórzył, patrząc na wskazówki.

Myśli Jeanne powędrowały do syna. Toby spał tu, niedaleko. Powinna przede wszystkim myśleć o nim. Tylko o nim.

- To może mi jeszcze wszystko szczerze wyznasz - zaproponowała.

Przez moment chciało jej się śmiać. Na twarzy Rona pojawił się wyraz przerażenia i bezbrzeżnego zdziwienia. Tak jakby była czarodziejką albo raczej czarownicą, która potrafi czytać w myślach.

- Że... że co?! - wyjąkał.

- Chodzi mi o Toby'ego - wyjaśniła. - Coś spiskowaliście i w kuchni, a później u niego w pokoju.

Wyraz pewności powrócił na twarz Rona.

Skinął radośnie głową na wspomnienie tego, co udało mu się osiągnąć. Świąteczna koperta spoczywała w tej chwili bezpiecznie w jego kieszeni.

- Sama zobaczysz - stwierdził z uśmiechem. - Jutro ci powiem.

- To znaczy, że coś ci się udało z tym zrobić? - spytała z niedowierzaniem.

- Mam wrażenie, że najgorsze mamy za sobą. Śpij spokojnie. -

Ucałował ją delikatnie w policzek, jak dobrą znajomą, a następnie chciał się skierować w stronę drzwi.

Jeanne powstrzymała go jednak.

- Czekaj! Powiedz mi od razu! Ron pokręcił głową.

- Nie, nie teraz. Zresztą powinnaś była sama o tym pomyśleć - drażnił się z nią.

Zbliżyła się do niego tak, że poczuł jej oddech. Nie była jednak w tej chwili romantycznie usposobiona. Może jej siostra miała rację: stała się nadopiekuńcza w stosunku do Toby'ego.

- Nie pozwolę skrzywdzić mojego dziecka - oświadczyła groźnie.

Ron postąpił krok w stronę drzwi.

- To świetnie - stwierdził. - Bo ja wcale nie mam zamiaru krzywdzić Toby'ego.

Wyszedł do przedpokoju i włożył kurtkę. Jeanne towarzyszyła mu przez cały czas, przekonana, że już nic nie da się z niego wydobyć.

Ron uchylił drzwi.

- Brr, ale mróz!

Rzeczywiście, temperatura spadła do minus sześciu stopni Celsjusza.

- Nie zapaliłaś świateł na choince - dodał, wyglądając do jej ogródka.

- Nie będę już ich zapalać. Jest za późno.

Jednak Ron nie dawał za wygraną. Nalegał, żeby zapaliła światła na jego wyjazd.

- A jeśli zapalę, powiesz mi, czego się dowiedziałeś? - użyła ostatniego możliwego podstępu.

Udawał, że się zastanawia.

- Zobaczymy - odparł w końcu.

Jeanne wyszła do kuchni, żeby włożyć wtyczkę od światełek do kontaktu. Kiedy wróciła, Ron był już przy furtce. Choinkowe światła wspaniale oświetlały ogród i chodnik. Odbijały się na śniegu, przez co zdawało się, że jest ich znacznie więcej niż w rzeczywistości.

- Wspaniale! - krzyknął do niej.

- Miałaś mi powiedzieć! - odkrzyknęła.

- Jutro! - dobiegła do niej odpowiedź.

Stała jeszcze przez chwilę na progu, spoglądając, jak Ron nieco chwiejnym krokiem podchodzi do samochodu. A potem patrzyła na samochód znikający przy końcu ulicy. Wreszcie poczuła, że jest jej zimno, i stwierdziła, że najwyższy czas iść spać. Jednak nie była senna.

- Czekasz na mnie, dziadku? - zdziwił się Ron, zastawszy Emmetta w saloniku przy barku, z którego starszy pan właśnie wyjął butelkę starej brandy.

- Nie, przed chwilą wróciłem od Wiktorii - poinformował Emmett wnuka, a następnie sięgnął po drugą szklaneczkę i postawił ją obok swojej.

- Poszliśmy do niej po występie chóru. To było niezapomniane przeżycie.

- Co? Wizyta czy koncert?

- Koncert też - stwierdził łaskawie Emmett. - Dawno nie słyszałem aż tylu fałszujących osób.

Emmett nalał brandy do obu szklaneczek, a następnie podał jedną Ronowi, nawet nie pytając go, czy chce się napić. Może sam wygląd wnuka podpowiedział mu, że potrzebuje czegoś mocniejszego.

- Miło było porozmawiać z Elaine, prawda? - zagadnął Emmett, przypomniawszy sobie spotkanie wnuka z byłą dziewczyną.

Ron pociągnął łyk brandy, a następnie usiadł w starym fotelu, który równie dobrze mógł pochodzić z zamku króla Artura, jak i z arki Noego.

- Jasne, że miło! Pięcioro dzieciaków z Tonym Rosettim. Jak dla mnie bomba!

- A pomyśleć, że to mogłeś być ty, żonaty i szczęśliwy - rozmarzył się Emmett.

Ron tylko pokręcił głową.

- Nic z tego - powiedział. - Tony nie jest w moim typie.

- Dobra, dobra, nie zgrywaj się, jak to wy mówicie. Czy podobna myśl nie pojawiła się w twojej zakutej łepetynie?

Ron postanowił być szczery.

- Pojawiła się - stwierdził. - Ale nie byłbym szczęśliwy. Nawet Tony musiał czekać, żeby zrealizować swoje marzenia, mimo że jemu jest trochę łatwiej. Czułbym się osaczony i zdegradowany.

Ron przypisał sobie myśli Elaine, ubrał je tylko w bardziej dramatyczne słowa. Cóż, uprawniał go do tego jego zawód.

Pierś Emmetta zafalowała gniewem.

- To dobra dziewczyna! Niczego byś nie żałował!

Ron od dawna podejrzewał, że to właśnie było marzeniem Emmetta: zobaczyć go uśmiechniętego w małżeńskim kieracie. Nic z tego! A w każdym razie nie z Elaine.

- Powinieneś bardziej uważać na własne związki - przygadał mu Ron, a następnie przypomniał sobie o kopercie. - A także na to, co mówisz. Wciąż muszę się zajmować naprawianiem tego, co zepsułeś.

Emmett przyjrzał się mu uważnie.

- Myślałem, że to już załatwione - powiedział. - Niczego nie będę odwoływał. Po prostu czekamy na jej następny ruch. Najlepiej trzymaj się z daleka i od tej sprawy, i od tej kobiety.

Ron oczywiście nie mógł się przyznać do tego, że nie potrafi już trzymać się z daleka od Jeanne Trent. Za bardzo kusiły go jej ponętne kształty. I jeszcze coś, czego nie potrafił określić, a co bardziej dotyczyło psychiki niż urody.

- Wcale nie uważałem tej sprawy za załatwioną - stwierdził Ron. - Zawsze mi się wydawało, że można tu zrobić coś więcej.

- I zrobiłeś? - spytał.

- Tak!

Zdziwienie Emmetta było tak bezbrzeżne, że zatrzymał w połowie drogi niesioną ku ustom szklaneczkę z brandy, a następnie postawił ją na

stoliku obok. Ron tymczasem wyjął kopertę i pokazał dziadkowi nagryzmołony adres.

- Popatrz, co zdobyłem. Emmett zachmurzył się nieco.

- I co chcesz z tym zrobić?

- Jak to, co?! Otworzyć nad parą i sprawdzić, czego pragnie Toby, a następnie kupić mu tę rzecz.

- Czy nie wydaje ci się to naruszeniem tajemnicy korespondencji?

Ron był dziennikarzem i wszelkie tajemnice miały dla niego tylko jeden walor. Ten, że można je odkryć. Najczęściej też opisać, czego oczywiście nie planował w tym wypadku.

- Ostatecznie list jest do ciebie - powiedział Ron, celując palcem w pierś Emmetta. - Wobec tego ty powinienes go przeczytać.

- Jestem pewien, że mnie doskonale wyreczysz. - W głosie Emmetta słychać było wyraźną dezaprobatę.

Ron albo nie chciał jej usłyszeć, albo naprawdę umknęła jego uwagi. Dopił brandy i wstał z miejsca.

- Wobec tego chodźmy do kuchni - zaproponował. - Muszę otworzyć list nad parą.

Emmett wstał posłusznie.

- Ciekawe, dlaczego jego matka nie otworzyła tego listu? - spytał. - Mogła to zrobić już dawno temu.

Ron tylko wzruszył ramionami.

- Czy to takie ważne? - spytał. - Może wcale nie wiedziała o jego istnieniu. Podobno Toby bywa bardzo skryty.

Wyszli z salonu, a Emmett cały czas kręcił głową.

Jeanne spodziewała się tego telefonu, zatem wcale się nie zdziwiła, kiedy zadzwonił około pierwszej w nocy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - usłyszała znajomy głos. -

Wyszedłem na durnia.

Poprawiła się nieco na łóżku i odłożyła książkę.

- Nie dałeś mi szansy - przypomniała mu. - Dopiero później zorientowałam się, o co mogło ci chodzić. Zjrzałam zresztą do Toby'ego.

- Mogłaś powiedzieć, że Toby nie umie pisać!

- Wcale o to nie pytałeś - odparła z uśmiechem.

- Ale na kopercie był adres!

- Skopiował go z tego, co mu napisałam. Zresztą, prawdę mówiąc, narobił w nim sporo błędów. Umie już rozróżniać litery i składać w słowa, ale nie napisze przecież listu - tłumaczyła cierpliwie.

- No, coś jednak napisał - stwierdził Ron. - Jest nawet T jak Toby.

- A z resztą możesz się zwrócić do CIA.

- Wiesz, tam są jakieś znaki - ciągnął Ron. - Kółka i księżyce, i jeszcze coś. Może to jednak coś znaczy? - Ron uchwycił się ostatniej deski ratunku.

Jeanne pokiwała głową.

- Pierniczki - powiedziała.

- Nie rozumiem.

- Potterowie zawsze robią pierniczki na święta i Toby skopiował kształty - tłumaczyła. - Jestem z niego bardzo dumna. Rzadko spotyka się dzieci w jego wieku, które by tak ładnie potrafiły kopiować.

No tak, a Ron oczywiście powinien to wiedzieć. Dzięki temu nie wyszedłby na kompletnego idiotę.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się, iż wziąłem ten list - powiedział Ron.

- Nie, ale wyślij go, tak jak cię prosił. I nie przejmuj się tym, że nic nie znaczy. Zapewniam cię, że Święty Mikołaj dostaje setki takich listów.

Ron wzruszył ramionami.

- Jak uważasz.

- Dzięki, że tak bardzo się starałeś. - W głosie Jeanne zabrzmiały miękkie tony.

- Tylko, niestety, jeszcze niczego nie załatwiłem. A przecież obiecałem, że się tym zajmę.

- Nie, Ron. Daj spokój. Jeśli dałam sobie radę po śmierci Davida, to poradzę sobie jakoś i z tym problemem.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Czy to znaczy, że chcesz się mnie pozbyć? - spytał w końcu.

Nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Wiesz, Ron, tak bardzo się różnimy, że...

- Wiem, wiem. Ja jestem mężczyzną, a ty kobietą. To jest główna różnica i na tym proponuję się skupić.

Krótkie westchnienie z drugiej strony powiedziało mu, że trafił w dziesiątkę.

- Jeśli udało mi się skłonić cię, żebyś mnie pocałowała - ciągnął Ron - to znaczy, że potrafię też wydobyć z Toby'ego potrzebną nam informację.

- Wątpię - usłyszał słaby głos Jeanne.

- Wątpisz, że uda mi się ciebie jeszcze raz pocałować?

Znowu zapadła cisza. Tak jakby Jeanne ważyła wszystkie za i przeciw. Pewnie nie spodziewała się tej rozmowy w środku nocy.

- Prawie się nie znamy - rzuciła w końcu.

- Ale możemy się lepiej poznać.

- Za dużo nas dzieli - dodała.

- Możemy spróbować pokonać różnice. Jeanne zastanawiała się jeszcze przez chwilę.

- Wiesz, jednego boję się najbardziej. Tego, że pokocham niewłaściwego mężczyznę - wyznała w końcu. - Nie mogę myśleć tylko o sobie. Mam jeszcze Toby'ego. Wyobrażasz sobie, co by czuł, gdybym się z tobą związała, a potem okazałoby się, że nic z tego nie będzie?

- Nie zastanawiałem się nad tym - przyznał po chwili milczenia. On też nie spodziewał się tak poważnej rozmowy.

- Muszę myśleć o wszystkim, Ron - tłumaczyła mu jak dziecku. - Nie mogę bawić się w romanse, a potem czekać, aż się mną znudzisz.

- Ostrożność do niczego nie prowadzi! - wybuchnął. - Takie same obawy mogłaś mieć, kiedy żył twój mąż!

- Gdybyś był w tej chwili obok, dałabym ci w twarz - powiedziała nabrzmiałym od emocji głosem.

Ron nagle ochłonął. Zrozumiał, że nie tędy droga. Jeanne jest inna niż kobiety, które znał.

- Przepraszam - powiedział. - Jednak wczuj się w moją sytuację. Nigdy nie angażowałem się w poważny związek. Teraz wydaje mi się, że jestem gotowy. Nie mogę jednak niczego obiecywać.

Jeanne potrząsnęła głową, mimo że Ron nie mógł jej w tej chwili widzieć.

- Ciekawe, ile razy próbowałeś tego zagrania - rzuciła złośliwie.

- Słucham? - Ron poczuł się niewinnie skrzywdzony.

- Czy nie widzisz, co się ze mną dzieje? Nie widzisz, że jestem na rozdrożu? Daj mi spokój i poszukaj sobie innej ofiary!

- Ale przecież mnie pocałowałaś?! Co się stało?!

- Właśnie dlatego musiałam wszystko przemyśleć - powiedziała. - Ten związek nie ma przyszłości. Daj mi spokój, Ron.

Z tymi słowami zakończyła rozmowę. Ron jeszcze przez chwilę siedział przy stoliku, nie bardzo rozumiejąc, co się stało, a następnie odłożył ciężko słuchawkę staromodnego telefonu Emmetta i powlókł się do swojego pokoju.

Po raz pierwszy w życiu czuł się odrzucony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Teraz, po wymianie świec, nie powinnaś mieć z nim kłopotów, Jeanne - powiedział Martin Potter, opuszczając maskę zielonego buicka córki.

Ojciec Jeanne był olbrzymim mężczyzną po pięćdziesiątce, o ogorzalej i czerstwej twarzy i głosie, który obudziłby umarłego. Doskonale nadawał się na nestora rodu. Zwłaszcza Toby darzył go szacunkiem i może nawet trochę się go bał.

- Dzięki, tato, jesteś moim aniołem stróżem.

- Ho, ho! Niewielu by mnie tak nazwało! - zagrzmiał, jego głos odbił się echem od garażowego sufitu.

Martin wytarł w szmatę ubrudzone ręce i spojrzął na zegarek.

- Chyba już czas na obiad - stwierdził.

- Mama właśnie przysłała mnie z wiadomością, że jest gotowy - powiedziała Jeanne. - Dziś twój ulubiony befszyk z pieczonymi ziemniakami.

- To świetnie. Mogłaś wziąć jakąś kurtkę - zauważył, patrząc z dezaprobatą na jej sweter. - Chodźmy, jestem potwornie głodny.

Wyłączył grzejnik i zgasił światło, a następnie objął ramieniem córkę i poprowadził do wyjścia. Na zewnątrz było jeszcze całkiem jasno. Mimo to zapalono już świąteczne światła okalające rodzinny, dwupiętrowy dom Potterów. Pewnie mama zrobiła to ze względu na dzieci.

Ojciec skierował się do nie ogrzewanego pomieszczenia na tyłach domu. Znajdował się tam składzik z narzędziami, jak również wieszaki na robocze ubrania. Jeanne chciała pójść z nim, ale ojciec zaprotestował.

- Idź do kuchni - powiedział. - Tutaj można zamarznąć.

- Chciałam pogadać z tobą, tato.

Stary Potter spojrzał na nią bystro. Ton jej głosu powiedział mu, że sprawa musi być dosyć poważna.

- Jeśli chcesz się tutaj wprowadzić z Tobym, to zapraszamy - zachęcił. - Już dawno o tym myśleliśmy.

Jeanne poczuła, że za chwilę się rozklei. Nie spodziewała się takiej pomocy. Nie sądziła, że rodzice gotowi są posunąć się aż tak daleko.

- To bardzo miło z waszej strony - zaczęła. - Naprawdę doceniam to wszystko, co dla mnie robicie. I te święta, pierniczki i... i...

Poczuła dłoń ojca na ramieniu.

- My, Potterowie, musimy sobie jakoś pomagać - stwierdził po prostu.

Tak, oczywiście. Ale jak do tej pory to raczej rodzice pomagali jej, a nie odwrotnie.

- Dziękuję, tato, ale chciałam porozmawiać o czymś innym.

Stary Potter powiesił ubranie robocze na kołku i pchnął córkę lekko w stronę wyjścia. Komórka miała połączenie z kuchnią, ale nikt z niego nie korzystał, żeby nie brudzić.

- A, to pewnie chcesz pogadać o swoim chłopaku - domyślił się ojciec. - Chodźmy do środka, bo tutaj jest naprawdę zimno.

- Nikomu nic nie mówiłam! To są bezpodstawne oskarżenia! - powiedziała z całą mocą Angie, przyciskając do piersi bezcenne porcelanowe półmiski.

Obie znajdowały się w jadalni. Jeanne od momentu kiedy ojciec wspomniał o „jej chłopaku”, miała ochotę pogadać z siostrą i zrobić jej scenę z powodu niedotrzymania tajemnicy. Teraz nadarzyła się okazja. Jednak Angie od razu stwierdziła, że to nie ona.

- Jeśli nie ty, to kto? - spytała Jeanne, rozdzierając dramatycznym gestem opakowanie, w którym mieściły się papierowe serwetki.

Angie postawiła dwa półmiski na stole i dopiero wtedy zamachała rękami niczym żywy wiatrak.

- Nic nie powiedziałam - powtórzyła. - Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że nic z tego nie będzie.

Jeanne zmierzyła ją złym wzrokiem.

- To bardzo miło z twojej strony - syknęła.

Siostra spojrzała na nią jak na jakiś dziwny okaz prehistorycznego gada.

- Bądźmy szczerze, siostrzyczko. W twoim wieku i z synem masz niewielką szansę na to, żeby usidlić kogoś takiego, jak Ron Coleman.

Jeanne poczuła, że twarz jej płonie.

- No popatrz! To jakoś nie pokrywa się z jego deklaracjami!
- Naprawdę? - Angie szeroko otworzyła buzię.
- Właśnie - ciągnęła Jeanne. - Moim zdaniem jestem jeszcze nie najgorszą partią.

Tym razem siostra nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Czowała, że Jeanne przeszła już złość i może sobie trochę pożartować.

- Świetnie, że zdajesz sobie z tego sprawę - stwierdziła. - Tylko jeszcze trzeba uświadomić to jakiemuś mężczyźnie.

Jeanne pomyślała, że wcale nie jest to główny problem. Przede wszystkim powinna dokonać właściwego wyboru.

Jak zauważyła już Angie, w jej wieku i z dzieckiem nie powinna myśleć o przelotnych romansach, a raczej o „usidleniu” jakiegoś mężczyzny. Właściwego mężczyzny. Czy Ron Coleman był właściwym mężczyzną? Jeanne miała co do tego wiele wątpliwości. Na przykład Davida знаła od dziecka. Czowała, że łączą ich wspólne przekonania i zamiłowania, że chcą tak samo spędzać czas, mają podobne cele w życiu. Tego wszystkiego nie mogła powiedzieć o Ronie.

Dlaczego więc czowała się tak dobrze w jego towarzystwie?! To pytanie nie dawało jej spokoju.

Oczywiście, istniała na nie jedna odpowiedź. Seks! Ron był człowiekiem doświadczonym w tych sprawach, co również stanowiło dla niej pewną nowość.

- Hej, zasnął?! - usłyszała głos siostry. Jeanne zaczęła rozkładać serwetki.

- Nie, nie, po prostu się zamysliłam. - Nagle uderzyła ją pewna myśl.
- Przepraszam, niesłusznie cię posądziłam. To pewnie Tobie wszystko wygadał rodzicom.

Angie zmarszczyła czoło, a następnie skinęła głową.

- Tak, chyba masz rację - powiedziała. - Rodzice ciągle go o ciebie wypytyują.

- A on sprzedaje się tanio. Za gumę albo puszkę coli - podjęła Jeanne.

Angie, która zabrała się do rozkładania sztuców, trąciła ją łokciem, przechodząc obok.

- No dobrze, skoro już doszłaś do wniosku, że możesz mi ufać, to powiedz, jak ci idzie z Colemanem. To prawda, że wciąż się tobą interesuje?

Wciąż, podjęła w myślach Jeanne. Jak długo jeszcze będzie to trwało? Głośno jednak powiedziała:

- Nie widziałam go od środy.

- To tylko cztery dni. Nie masz się czym przejmować.

Jeanne się nie przejmowała. Po prostu odkładała słuchawkę, kiedy Ron dzwonił, albo grzecznie go spławiła.

- Nie, to już się skończyło, Angie - stwierdziła. - A prawdę mówiąc, to nawet się nie zaczęło.

Drzwi skrzypnęły i po chwili pojawił się w nich Toby. Otworzył je szeroko, tak, żeby do środka mogli wejść Martin z półmiskiem pełnym mięsa i Catherine niosąca miskę z warzywami, a także Brad, któremu powierzono ziemniaki. Wszystkie te ziemskie dobra znalazły się po chwili na talerzach, podzielone na odpowiednie porcje.

Catherine poklepała Jeanne po ramieniu.

- To wspaniale, kochanie, że znalazłaś sobie chłopaka. -

Uśmiechnęła się do córki. - I to bez niczyjej pomocy.

Jeanne spojrzała na matkę. Mimo że dobiegała pięćdziesiątki, wciąż była atrakcyjną kobietą. Udawała spokój, ale za tym jej uśmiechem skrywały się olbrzymie emocje.

- Ależ mamó! To nie jest mój chłopak - starała się wytłumaczyć Jeanne. - Ot, po prostu znajomy.

Catherine pokręciła głową, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości wykrętów córki.

- Powinnaś mi wcześniej powiedzieć o wszystkim - stwierdziła. - Nie musiałabym wypytywać Toby'ego.

- Ej, przecież mówiłem wam, że Ronny to mój przyjaciel - zaproponował Toby.

Wszyscy na moment zamilkli, a potem wybuchnęli zgodnym śmiechem.

- Nie macie powodu się śmiać - starała się ich przekrzyczeć Jeanne. - Toby ma rację.

Catherine, która wciąż stała przy niej, ścisnęła ją mocno za ramię. Tak mocno, że trochę zabolęło.

- Martwiliśmy się o ciebie - przyznała. - A przecież nie było powodu.

- Oczywiście, że nie było powodu - podjęła Jeanne, starając się nie dopuścić do psychodramy. - Przecież doskonale sobie radzę. Jedźmy już, bo nam wystygnie.

Na wzmiankę o jedzeniu wszyscy poczuli się nagle bardzo głodni. Zajęli więc swoje miejsca i zabrali się żwawo do konsumpcji.

- Oczywiście, chcę jeszcze kiedyś wyjść za mąż - rzuciła znad swojego befsztyka Jeanne. - Najlepiej za faceta tak wspaniałego jak David.

- Właśnie - poparła ją siostra. - Nie ma co tracić czasu na jakiegoś obieżyświata, prawda, Brad?

Brad, po którym z racji zawodu należało spodziewać się zrozumienia, przypomniał sobie chyba o swoich nie spełnionych dziecięcych projektach.

- Och, obieżyświat! To musi być ktoś szalenie interesujący!

Angie posłała mu złe spojrzenie.

- Dzisiaj tu, jutro tam - warknęła.

- Zawsze chciałem być podróżnikiem - rozmarzył się Brad.

- Oczywiście, nie będziemy cię namawiali na ten związek - wtrąciła Catherine. - Sama zdecydujesz. Kupisz, nie kupisz, najważniejsze, że jest ruch w interesie.

Ojciec aż zatarł ręce.

- Właśnie, właśnie - podjął wątek. - Mimo wszystko myślę, że to będą wesołe święta.

Mimo wszystko? Więc jednak przez cały czas obawiali się tego, że czekają ją smutne święta. Słowa ojca odsłoniły jej głębię własnych obaw. Przecież nie wypytywali Toby'ego z ciekawości, a dlatego, że się o nią martwili. I teraz co? To, czy święta będą szczęśliwe, ma zależeć od jakiegoś tam Rona Colemana? Obcego i w dodatku egoisty?

- O tak, tato! To będą naprawdę szczęśliwe święta - potwierdziła. - Ale przede wszystkim dlatego, że jesteśmy razem. Że jesteśmy jedną rodziną.

Na moment przy stole zapanowała cisza. Noże i widelce zawisły nad potrawami.

- Hm - chrząknęła w końcu Catherine. - A jak to się stało, że poznałaś tak sławnego człowieka jak Ron Coleman?

- On po prostu zadzwonił do drzwi! - ożywił się Toby. Wszyscy znowu się roześmiali, co trochę rozładowało atmosferę.

- W sklepie zabawkowym braci Grace - poinformowała rodzinę Jeanne.

- Aa, kupiłaś mi zabawki! - ucieszył się Toby.

- Niezupełnie. Ale można powiedzieć, że byłam tam w twoim imieniu.

- To dziwne, że w takim miejscu można spotkać kawalera - stwierdziła Angie.

- W dodatku faceta, który pisze głównie o egzotycznych krajach - dodała Catherine.

- Zdziwiająca, że o nim słyszałaś, mamó - zauważyła nie bez cienia złośliwości Jeanne. - Myślałam, że czytasz głównie kryminały.

- Wszyscy słyszeli o Colemanie - wtrącił się do rozmowy Martin, zajęty do niedawna swoim befsztykiem. - Czy mogę skończyć sałatkę? - zwrócił się do żony.

- Jasne. Już chyba wszyscy mają dosyć.

Martin rzucił się z ochotą na sałatkę, chociaż tak naprawdę wcale jej nie lubił. Z pewnością wolałby jeszcze jeden kawałek mięsa.

- To, co on pisze, czyta się prawie jak kryminały - podjęła Catherine.
- Na przykład ten zbiór reportaży o rybakach z Florida Keys, wypływających daleko na morze w swoich łódeczkach.

- A ja czytałem o wyprawie w Himalaje - dodał z pełnymi ustami Martin. - Wiesz, w takie góry.

- Nigdy tam nie byłam, ale coś o nich słyszałam - stwierdziła Jeanne.

- Ten Coleman sam odbył podróż po Tybecie - ciągnął Martin, zdając się nie słyszeć sarkazmu w głosie córki. - Natknął się tam na Tybetańczyków, którzy są prawie zupełnie odcięci od świata. Żyją według własnych reguł i zasad i są naprawdę szczęśliwi.

- Więc czemu z nimi nie został? - podchwyciła Jeanne.
- Wygląda na to, że nigdzie nie potrafi zagrzać dłużej miejsca.

Niedługo wyjedzie i stąd.

- A gdzie mieszka?
- W Los Angeles - odparła Jeanne.
- To u kogo się tutaj zatrzymał? - padło kolejne pytanie.
- Zdaje się, że u dziadka.
- Ciekawe, gdzie mieszka ten dziadek.
- Przy Como Avenue. Niedaleko jeziora. - Jeanne zdawała sobie

sprawę, że jak na osobę mało zainteresowaną Ronem Colemanem za dużo o nim wiedziała.

- A jak gra w baseball - dodał bez związku Toby.

Wszyscy już zjedli, nawet Martin skończył sałatkę i od paru chwil siedzieli nad pustymi talerzami. Jeanne skorzystała z okazji i zaczęła je zbierać. Również Angie poderwała się od stołu i powiedziała, że pokroi ciasto i zrobi kawę lub herbatę. Policzano ilość zamówień i obie siostry udały się do kuchni.

- Dobrze zagrałaś, Jeanne - pochwaliła siostrę Angie. - Nie trzeba im robić specjalnych nadziei.

- Są tacy zadowoleni, jakby złapali Pana Boga za nogi - westchnęła Jeanne.

- Dziwisz się?

Jeanne rozłożyła ręce.

- Nie sądziłam, że aż tak czekają na jakiegoś faceta. - Jeanne zaatakowała nożem wielki kawał ciasta. - Że też to musiało się zdarzyć akurat na święta.

Angie wyjęła talerzyki z szafek.

- To nie ich wina - powiedziała. - Tak się akurat złożyło. Jeanne wycelowała czubek noża wprost w serce Angie, a ta cofnęła się trochę na widok złych błysków w siostrzanych oczach.

- To wina Rona Colemana i jego cholernego dziadka! - krzyknęła. - To ich wina!

- Nie, Jeanne, to nie tak...

- Właśnie, że tak - upierała się Jeanne. - Jeśli zaprzeczysz, powiem Bradowi, że w szkole wcale nie dbałaś o zęby!

Angie omal nie upuściła na podłogę deserowych talerzyków.

- Nie, nie zrobisz tego! Wiesz, jakiego fioła ma Brad na tym punkcie!

Jeanne uśmiechnęła się złośliwie.

- Więc przestań grać rolę adwokata diabła i stań po mojej stronie!

Mimo że Jeanne próbowała przenieść rozmowę przy stole na inne tory, temat Rona bez przerwy powracał. Catherine zażyczyła sobie nawet obejrzyć zdjęcie „chłopaka Jeanne”.

- Przecież zawsze robisz zdjęcia - mówiła córce. Jeanne kręciła głową. Nie miała zdjęcia Rona.

Nagle Toby zaśmiał się.

- Przecież mamy jedno, mamó! - wykrzyknął.

Najpierw nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi, a potem sobie przypomniała! Tak, rzeczywiście! Miała jedno zdjęcie Rona. Bez słowa przeszła do przedpokoju, gdzie zostawiła torbę z aparatem i ostatnio zrobionymi zdjęciami. Aparat miała zawsze przy sobie. Na wypadek, gdyby udało jej się zauważyć coś ciekawego.

Kiedy wróciła do stołu, wszyscy aż kipieli z ciekawości.

- No, pokaż, pokaż - ponaglała ją Catherine.

Jeanne podała jej zdjęcie. Matka spojrzała na nie, a potem odsunęła z wyraźną niechęcią.

- Przecież to generał! Stary piernik w ogóle nie nadaje się na męża! - wyrwało się Catherine.

- Ręka! - Toby zachichotał. - Ręka na Fu-Fu to ręka Rona.

Catherine przyjrzała się wskazanej dłoni.

- Och, jaka przystojna i miła ręka - zakpiła. Martin wypił łyk kawy i wziął zdjęcie do ręki.

- Widać, że to silna, męska ręka - stwierdził. - Nie ma żadnego manikiuru - dodał, silnie przeciągając ostatnie słowo.

Jeanne przytaknęła.

- Tak, to prawda - przyznała. - Zdaje się, że Ron ma zerwaną część paznokcia ze wskazującego palca. Ale tutaj tego nie widać.

- Dzikie zwierzę - jęknęła Angie. - Dzikie! Drapieżne! Bez stałych godzin pracy!

Brad chrząknął, nieco zdezorientowany zachowaniem żony.

- Może jednak Jeanne powinna uważać na tego człowieka - wtrącił ostrożnie.

Jeanne poklepała szwagra po ramieniu.

- Dzięki, Brad - powiedziała. - Przykro mi, że moja siostra nadepnęła ci na odcisk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ron był przyzwyczajony do pokazywania się w miejscach publicznych. Często zdarzało mu się występować w różnych programach, udzielać wywiadów czy też rozmawiać z wielbicielami.

Jednak trójka, która znalazła się w jego ulubionej księgarni i od dobrego kwadransa obserwowała go bezwstydnie, nie przypominała żadnych znanych mu istot. Nawet z tego dziwnego plemienia z dorzecza Amazonki, które pocierały jego skórę, żeby sprawdzić, czy nie jest pomalowana.

Ron czuł się dziwnie, ponieważ starszy mężczyzna i kobieta koło pięćdziesiątki, a także, zdaje się, ich córka, bez przerwy obserwowali jego rękę. Kiedy to dostrzegł, wydało mu się to tak absurdalne, że nie chciał wierzyć. Jednak z czasem przekonał się, że tak jest w istocie.

Oczywiście to nie Ron, który miał podpisywać swoje książki, ale Emmett był gwiazdą wieczoru czy raczej popołudnia. Włożył na tę okazję smoking i przez cały czas rozwodził się nad twórczością wnuka, a także odczytywał fragmenty z niektórych książek. Ron zdawał sobie sprawę z tego, że jego twórczość nudzi dziadka i że jeśli przeczytał jakiś tekst, to najwyżej parę stron przed zaśnięciem.

Z trudem udało mu się odciągnąć Emmetta od grupki nastolatków i wskazać dyskretnie trójkę, która wciąż obserwowała jego rękę.

- Znasz ich? - spytał. - Mam nadzieję, że to nie są żadni dalecy krewni ani sąsiedzi, których powinienem pamiętać?

Emmett spojrział we wskazanym kierunku.

- Nie, to chyba nie sąsiedzi - powiedział. - Chociaż ta starsza pani wydaje mi się znajoma. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, skąd.

Kolejka osób czekających na autograf już się przerzedziła. Zostało kilku znajomych, z którymi Ron gawędził przyjaźnie. Na to chyba czekała trójka nie znanych nikomu osób, ponieważ teraz, jak jeden mąż, ruszyły w jego stronę. Ron zauważył, że młodsza z kobiet miała pod pachą gazetę z ogłoszeniem, że dziś właśnie będzie podpisywał swoje książki.

Starsza kobieta wskazała jego dłoń.

- Na żywo wygląda znacznie lepiej - powiedziała. Ron chrząknął.

- Przepraszam, czym mogę służyć?

Kobieta zaśmiała się, a mężczyzna tylko cmoknął. Młodsza z kobiet nie zrobiła nic.

- Nie domyśla się pan, kim jesteśmy? - spytała starsza kobieta. - No, proszę się wysilić.

Ron szukał w pamięci dalekich krewnych, sąsiadów, znajomych, mleczarzy, którzy dostarczali mleko do domu rodziców, śmieciarzy, których widywał na ulicy, ale niczego nie mógł sobie przypomnieć. Pomyślał zatem, że może źle szuka, i przyjrzał się uważnie starszej kobiecie.

Wszystko było jasne. Zwłaszcza gdy się spojrzało w jej pełne życia, figlarne, młode oczy.

- Potterowie! - wykrzyknął. - Zwariowani Potterowie. Tak mówi sama Jeanne - dodał po chwili.

Kobieta skinęła głową.

- To my - potwierdziła. - Ja jestem Catherine, a to mój mąż Martin i starsza córka Angie.

- Aha, widzieliście moją rękę na zdjęciu - domyślił się Ron.

- I stwierdziliśmy, że trzeba obejrzeć resztę - dodała Catherine. - Ale najpierw próbowaliśmy zidentyfikować samą rękę.

Ron podniósł dłoń do oczu.

- No tak, to moja ręka - przyznał z pewnym zdziwieniem.

- On chyba nie jest zbyt inteligentny - szepnęła młodsza z kobiet do mężczyzny, ale ten uciszył ją psyknięciem.

Cała historia zaczęła się układać w logiczną całość. Ron nareszcie zrozumiał, dlaczego ta trójka gapiała się wciąż na jego dłoń.

- Miło mi państwa poznać. - Ron dopiero teraz przypomniał sobie o obowiązkach.

- Mnie również. - Emmett ani na chwilę nie pozwolił, by o nim zapomnieli. - Ja jestem dziadkiem.

Zaczęli lekką, miłą rozmowę. Ron dziwił się, że czuje się tak dobrze w tym towarzystwie. Jakby znał wszystkich od dawna. Catherine powiedziała mu nawet, że cała reszta jest „dokładnie taka jak ręka”, a Ron potraktował to jako komplement.

W pewnym momencie Emmett, który czuł się nie doceniony, plasnął otwartą dłonią w czoło.

- Już wiem, skąd panią znam - powiedział z uśmiechem. - Pani jest matką...

- Jeanne, z którą się ostatnio spotykałem. - Ron wpadł mu w słowo, bojąc się, że dziadek opowie o prezencie Toby'ego.

- Właśnie - dodał Martin. - A teraz, skoro już wszystko się wydało, powinniśmy się lepiej poznać. Możemy się wybrać na lunch. Ja zapraszam.

- Nie, nie, to raczej ja - powiedział uprzejmie Ron, chociaż jego myśli krążyły wokół Jeanne. Nareszcie znalazł okazję, żeby się z nią zobaczyć. A raczej, okazja znalazła jego.

- Nalegam - powiedział Martin.

- Świetnie! - ucieszył się Emmett. - W Cafe Bon tuż obok są doskonałe sałatki.

Martin obrzucił staruszką niechętnym spojrzeniem.

- Powiada pan?

Catherine dźgnęła łokciem męża w bok.

- Doskonale, chodźmy. Wie pan - zwróciła się do Emmetta - mam wrażenie, że już pana spotkałam. Nie mogę sobie tylko przypomnieć, gdzie.

- Właśnie chciałem... Aj! - Emmett otrzymał sówkę w bok od wnuka.

- Chciałem powiedzieć, że ja też.

- Dołączymy do państwa za parę minut - dodał szybko Ron. - Musimy jeszcze pożegnać się z właścicielem księgarni.

Potterowie zgodzili się zatem zaczekać i wyszli. Ron został sam na sam z dziadkiem.

- Chodźmy do właścicieli - powiedział Emmett. - Ta młodsza jest pozbawiona męskiego towarzystwa. Chętnie będę jej służył ramieniem.

- Uważaj, żeby go nie stracić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Emmett spojrzał uważnie na wnuka. - I dlaczego ukłułeś mnie tak boleśnie w bok?!

- Powinieneś zacząć łączyć fakty - stwierdził Ron. - Już przypomniałeś sobie, że spotkałeś Catherine Potter w sklepie. Ale czy może przypominasz sobie, kto jej towarzyszył?

Emmett ostentacyjnie spojrzał na zegarek.

- Nie i nie mam takiego zamiaru - powiedział. - Już późno. Umieram z głodu. Czekają na nas.

- Otóż powiem ci, Toby Trent. Nigdzie nie pójdziesz, chyba że przypomniawsz sobie, co ci wtedy powiedział.

Emmett stał przez chwilę z głupią miną. Widać było, że w ogóle o tym nie myślał. Wolał brylować w towarzystwie. Teraz jednak poczuł się niepewnie.

- Więc nie mogę iść? - spytał prosząco.

- Chyba że jeszcze raz przemyślisz całą sprawę i zdecydujesz się pogadać z Tobym - powiedział po namyśle Ron.

- Inaczej możesz w każdej chwili zostać zdemaskowany.

- Ta Catherine to musiała być niezła sztuka w latach sześćdziesiątych. - W głosie Emmetta pojawiły się tęskne tony. - Szkoda, że jej wtedy nie znałem.

Ron pokręcił głową. Dziadek był niepoprawny.

- Więc nie mogę iść? - spytał raz jeszcze Emmett.

- Dla własnego bezpieczeństwa - powiedział Ron.

Jeanne zdążyła do połowy umyć kuchenną podłogę, kiedy odezwał się telefon. Wrzuciła mokrą szmatę do wiadra i wyszła do przedpokoju.

- Słucham? - powiedziała.

Miała mokre dłonie. Zupełnie zapomniała o tym, żeby je wytrzeć.

- Rzuć wszystko i przyjeźdź do Cafe Bon - usłyszała głos siostry.

- Teraz? Zaraz? Nie mam czasu.

- Nie wygłupiaj się, Jeanne! Nie ma chwili do stracenia!

- W głosie Angie była niecodzienna powaga.

- Czy rodzice wydają jakieś przyjęcie? - spytała Jeanne.

- Nie, ciebie - padła odpowiedź i zaraz potem uzupełnienie: - Za męż.

- Czekaj, Angie. Czy ty coś piłaś?

- Jeszcze nie. Czytałaś dzisiejszą gazetę?

Ta nagła zmiana tematu spowodowała, że Jeanne jeszcze bardziej zatroskała się o stan psychiczny siostry. Zawsze wydawało jej się, że życie z dentystą nie jest sprawą łatwą, ale nie sądziła, że aż do tego stopnia.

- Jakoś nie miałam czasu.

- To zajrzyj na szóstą stronę - wyszeptała Angie. - Nie mogę mówić, bo mama się zbliża. Pamiętaj, Cafe Bon, Grand Avenue.

Jeanne wiedziała, gdzie mieści się Cafe Bon. Wydawało jej się mało prawdopodobne, żeby Potterowie wybrali się właśnie tam. Restauracyjka oferowała duży wybór sałatek, za którymi nie przepadał Martin. Chyba że był już zupełnie zdesperowany.

- Powiedz, Angie, co wy tam...?

Nie dokończyła pytania. Siostra odłożyła słuchawkę. Jeanne weszła do kuchni i spojrzała na wiadro z wodą i umytą do połowy podłogę.

- Przykro mi, ale dziadek nie mógł przyjść - powiedział Ron. - Miał coś ważnego do załatwienia.

Przez okno, przy którym siedzieli, doskonale widać było Grand Avenue i Emmetta, który właśnie wsiadał do taksówki i na odjezdnym pomachał im jeszcze ręką.

Oczy Rona i Angie spotkały się na chwilę i Ron uświadomił sobie, że ona wie, dlaczego Emmett musiał odjechać. - Czy ona jedna?

- Wobec tego nie potrzebujemy takiego dużego stolika - zauważył Martin. - Ale nie będziemy się chyba przesiadać, chociaż trochę tu tłoczno.

- Och nie, przecież mamy stąd świetny widok na ulicę - stwierdziła Angie. - Wszystko widać. To znaczy, całą świąteczną dekorację.

- A jak tam Brad? - spytała ją Catherine.

- Co, Brad? - zdziwiła się córka.
- Przecież do niego dzwoniłaś - przypomniała jej matka.
- Ach tak, nie będzie mnie potrzebował aż do trzeciej - powiedziała

Angie.

- Przecież wiedziałaś o tym wcześniej! - westchnęła Catherine, a następnie postanowiła dać spokój córce i przeniosła wzrok na Rona. - Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że wtrącamy się w pańskie sprawy.

Ron co prawda nie bardzo wiedział, o jakie sprawy chodzi, ale pokręcił głową.

- Nie. Zupełnie.

- Właśnie - ciągnęła Catherine - bo Jeanne jest strasznie skryta i w ogóle nie chce o tym rozmawiać, więc postanowiliśmy załatwić całą sprawę za jej plecami.

- O czym nie chce rozmawiać? - spytał nieco zdezorientowany Ron.

- O waszym związku, oczywiście - wtrącił się Martin.

- Aha - powiedział tylko Ron.

Nigdy dotąd nie zetknął się z ludźmi, którzy by tak bezpośrednio przystępowali do rzeczy.

- Oczywiście wie pan o Davidzie - zaczęła Angie. Ron skinął głową.

- Tak, słyszałem.

Tym razem Catherine uciszyła wszystkich gestem ręki i sama przejęła inicjatywę:

- Właśnie. Chodzi więc o to, żeby nie skrzywdzić Jeanne. Zwłaszcza teraz, po tym, co się stało. To muszą być dla niej naprawdę dobre święta.

- Tak, tak - potwierdziła Angie. - Jednak powinniśmy doceniać Jeanne. Ona też potrafi zająć się swoimi sprawami.

Wzrok Angie padł na puste miejsce. Tylko Ron mógł dokładnie to zaobserwować. Kiedy jednak to dostrzegł, poczuł, że ma gęsią skórkę.

Właśnie zabierali się do jedzenia sałatek, kiedy Jeanne wpadła do restauracji. Towarzyszył jej zimny podmuch wiatru. Ron stwierdził, że oczy ma jak dwa olbrzymie spodki, ale chyba widok, jaki zastała, usprawiedliwiał tak olbrzymie zdziwienie.

- Jeanne!?! - wykrzyknęli jej rodzice. Byli naprawdę zdumieni.

- Witam wszystkich. - Jeanne zdołała jeszcze zachować resztki przytomności, po czym opadła na krzesło zarezerwowane dla Emmetta, w obawie że za chwilę zemdleje.

Wyglądała naprawdę ślicznie. Miała zaróżowione od mrozu policzki i zdrową, rześką cerę. Włosy opadały w nieładzie na niebieską kurtkę. Była bez szalika. Wkrótce też wstała, żeby powiesić okrycie na wieszaku.

- Angelo, dlaczego nam nie powiedziałaś, że Jeanne tu przyjdzie? - Catherine zwróciła się oficjalnie do córki.

- Chciałam, żeby to była niespodzianka, mamo.

- Chyba nie macie nic przeciwko temu? - Jeanne ponownie zbliżyła się do stolika.

- Ależ nie, nie - powiedział tubalnie Martin. - Po prostu moglibyśmy ci coś zamówić.

- Na razie zadowolę się herbatą. Więc podpisujesz książki w pobliskiej księgarni? - Jeanne zwróciła się do Rona.

- Właśnie - odparł zagadnięty. - Zresztą głównie ze względu na Emmetta. Dziadek lubi publiczne występy.

- Znowu ten Emmett - westchnęła Jeanne.

- Znasz go? - wtrąciła się Catherine. - Mnie też wydał się skądś znajomy.

Jeanne już otworzyła usta, żeby powiedzieć skąd, ale Ron spojrzał na nią błagalnie.

- To znany aktor - wyjaśniła zatem matce. - Musiałaś go widzieć w teatrze. Odnoszę jednak wrażenie, że niektóre swoje role traktuje zbyt poważnie.

Znowu Ron popatrzył na nią znacząco i Jeanne musiała ugryźć się w język.

- O czym tu sobie gawędzicie? - spytała.

Zapadła cisza. W końcu dopiero Martin zdecydował się ją przerwać:

- A gdzie jest Toby? Chyba nie zostawiłaś go samego?

- Nie, tato. Jest u syna Jasonów.

Catherine natychmiast ochoczo podjęła ten wątek:

- Toby bawi się z chłopakiem od Jasonów. - Rozpromieniła się. - Jak to miło!

- Tak, mamo. I to nie po raz pierwszy. To już się zdarzało wcześniej - powiedziała Jeanne.

- Ale zawsze jednakowo mnie cieszy - odparowała Catherine. - To przykre, kiedy jest sam i nie ma się z kim bawić. Samotnym zawsze jest gorzej na świecie.

Jeanne wyprostowała się przy stole. Jej oczy zaszklily się nagle.

- Odmawiam rozmawiania o moich osobistych sprawach przy obcych - powiedziała. - To, jak się czuję, jest wyłącznie moją sprawą.

Ronowi niespecjalnie spodobało się to, że nazwała go „obcym”, potrafił ją jednak zrozumieć. Tego rodzaju rozmowy nie należały do

przyjemności, nawet w gronie rodzinnym. Zresztą sami Potterowie, no, może z wyjątkiem Angie, nie sądzili, że do tego dojdzie.

Jeanne czuła, że najchętniej powiedziałaaby rodzicom o Emmecie i Tobym, co pewnie odwróciłoby ich uwagę od jej osoby. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić Ronowi. Siedzieli obok siebie, ponieważ to miejsce było przeznaczone dla Emmetta. I właśnie wtedy Ron zrobił coś strasznego.

Nagle, bez uprzedzenia, wziął ją pod stołem za rękę!

Jeanne nie mogła zaprotestować. Mijały sekundy, mijały minuty, rodzice mówili o jakichś błahych sprawach, a ona nie była w stanie wyrwać dłoni z ręki Rona.

W końcu Ron wstał, żeby skorzystać z toalety. Jeanne poszła za nim, nie zważając na spojrzenia rodziców. Czekwała na niego przy tym samym telefonie, z którego dzwoniła do niej siostra.

Kiedy wyszedł, natychmiast podeszła do niego.

- Jak mogłeś do tego dopuścić?! - spytała wzburzona.

- Konkretnie do czego? - Popatrzył zachłannie na jej pałające policzki i piersi wznoszące się nierównym oddechem pod moherowym sweterkiem.

- Do tego, żeby tutaj przyjść! - wypaliła. Ron wzruszył ramionami.

- Zaprosili mnie. Zresztą i tak wszystko zaczęło się od tego, że pokazałaś im zdjęcie z moją ręką na psie generała. Gdyby jej nie zobaczyli, nigdy nie przyszliby na spotkanie. Ciekawe, o co ci chodziło, kiedy im pokazałaś tę fotografię.

Jeanne skuliła się, jakby przygnieciona ciężarem winy.

- To nie ja, to Toby! - wykrzyknęła. - To on przypomniał sobie to zdjęcie.

Kilka osób znajdujących się przy toalecie spojrzało na nich ze zdziwieniem. Ron podniósł palec do ust.

- Mówmy ciszej.

Jeanne skinęła głową. Sama nie wiedziała, czemu dała się tak ponieść nerwom.

- Przyznaję, że zrobiłam źle i to tylko z głupoty i chęci zaspokojenia ciekawości rodziców - powiedziała, jak miała nadzieję, już znacznie spokojniej. - Jednak ty nie musiałeś tego od razu wykorzystywać.

Poczuła jego dłoń na ramieniu i jak poprzednio, przy stole, nie była w stanie się od niego odsunąć.

- Musiałem - powiedział. - To była jedyna szansa, żeby czegoś się o tobie dowiedzieć.

- A rodzice natychmiast to wykorzystali. Chcą mnie uszczęśliwić na siłę.

Ron opuścił dłoń i spojrzał na nią smutno.

- Cóż, mamy święta - powiedział.

Właśnie w tym momencie, niczym wichura, gdyby wichura potrafiła się uśmiechać, nadciągnęła od strony części jadalnej Catherine.

- Posłuchajcie! Mam świetny pomysł! - poinformowała ich już z daleka.

- Weź dwie aspiryny i idź się przespać - rzuciła Jeanne.

- Nie, nie! Pomysł jest naprawdę świetny. - Matka zatrzymała się tuż przy nich. - Posłuchajcie, zajmę się dziś wieczorem Tobym, a wy możecie spędzić ten czas razem. Oczywiście, jeśli Ron jest wolny - dodała po chwili z uśmiechem.

Ron skinął głową.

- Wolny jak ptak.

- Ale przecież ja mogę być zajęta - zaprotestowała ostro Jeanne.

- Wiem, że nie jesteś! - triumfowała Catherine. - Sprawdziłam wczoraj twoje wpisy w kalendarzu. No, dzieci, pomyślcie, dokąd chcecie się wybrać, i przyjdźcie zaraz do nas.

Catherine odeszła, a Jeanne spojrzała z wyrzutem na Rona.

- Mogłeś powiedzieć, że jesteś zajęty. Ron tylko rozłożył ręce.

- Nie mów tak, bo będzie mi przykro. Poza tym nie umiem kłamać.

A już zwłaszcza kobiecie.

Jeanne spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale po chwili pomyślała sobie, że jednak, mimo wszystko, może to być prawda.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Podoba mi się twoja rodzina, chociaż jest strasznie wścibska - powiedział Ron, kiedy przechodzili przez centrum handlowe Rosedale.

Chcieli znaleźć jakąś zabawkę pod choinkę dla Toby'ego. Ron miał wrażenie, że chłopiec chętnie bawiłby się miniaturową stacją benzynową, ponieważ wspomniał o tym w czasie jednej z rozmów. Jeanne zgodziła się na ten prezent, ale odmówiła pójścia do sklepu Grace'ów. Nawet nie mógł się jej dziwić. Emmett wciąż przecież dzierżył straż przy biegunie północnym.

- Nadymasz się jak paw, bo cię polubili - stwierdziła Jeanne. - Ale powinieneś pamiętać, że cię tak naprawdę nie znają.

- A co? Myślisz, że jak mnie lepiej poznają, to przestaną lubić? - spytał rozzłoszczony Ron. - O co ci w ogóle chodzi?!

Jakieś ogniki zamigotały w oczach Jeanne. Ron pomyślał, że nigdy dotąd nie starał się tak bardzo o żadną kobietę, a i żadna, jak dotąd, nie stawiała mu takiego oporu.

- O nic - odparła. - Chciałam tylko zaznaczyć, że ze mną nie pójdziesz tak łatwo.

Teraz przyszła kolej na niego. Nareszcie mógł się trochę z nią podrażnić:

- Oczywiście. Chodzi o to, że nie musisz polować na męża.

Jeanne poczerwieniała i zacisnęła usta. Następnie zwawo ruszyła przed siebie. Przeczესali niemal całe centrum handlowe w poszukiwaniu stacji dla Toby'ego, ale jej nie znaleźli. Ronowi udało się za to kupić perfumy dla mamy i sweter (Jeanne pomogła go wybrać) dla ojca. Zajrzeli też do galerii w poszukiwaniu prezentu dla Emmetta. W końcu Ron wybrał jakąś grafikę miejscowego artysty z Loring Park. Zauważył też, że Jeanne przygląda się pejzażowi pełnemu światła i ciepła.

Z początku zrobiło mu się żal, że nigdy nie uśmiechała się do niego tak, jak do tego obrazka. Następnie jednak powściągnął swoje uczucia i zamówił pejzaż, podając adres Jeanne. Dał jeszcze wysoki napiwek, chcąc zyskać pewność, że obraz dotrze na miejsce w wigilię Bożego Narodzenia, gdyż wówczas nie będzie mogła uznać tego za łapówkę. Może wtedy obdarzy go promiennym uśmiechem.

O drugiej trzydziści opuścili centrum handlowe w poszukiwaniu stacji benzynowej. Zajrzeli do kilku sklepów z zabawkami, ale nie znaleźli tego, czego szukali. Na ogół sprzedawcy mówili, że już nie ma takich zabawek i że nie mogą zamówić nowych przed Bożym Narodzeniem. Jeden sprzedawca zauważył:

- Po tych ostatnich reklamach trudno będzie teraz znaleźć taką stację.

Ron pluł sobie w brodę, że nie zwrócił wcześniej uwagi na słowa chłopca. Mógł też pooglądać reklamy. Przecież to jasne, że dzieci chcą mieć te produkty, które najczęściej są reklamowane.

Wyszli w końcu z kwitkiem z kolejnego sklepu i ruszyli dalej. W pewnym momencie Ron chwycił Jeanne za rękę.

- Chyba wiesz, jaki jest następny sklep? Z westchnieniem skinęła głową.

- Dobrze, chodźmy - zgodziła się zrezygnowana. - To ostatnia szansa, chociaż muszę powiedzieć, że niewielka. Poza tym, te wszystkie zabawki są takie drogie...

Tak, Ron znowu zapomniał, że Jeanne nie ma pieniędzy i że nie chce od niego nic przyjąć. Z tej sytuacji nie było wyjścia.

- A swoją drogą, to nieprzyzwoite, żeby pięcioletni chłopiec był tak skryty - stwierdził z mocą Ron, chcąc ukryć zmieszanie.

- Powinien był już dawno powiedzieć, co chce dostać!

Jeanne westchnęła po raz kolejny, kiedy stanęli przed wejściem do sklepu braci Grace. Zegar z Myszką Miki, który wisiał przy wejściu, powiedział im, że dochodzi czwarta. Ron spojrział na stropioną Jeanne i pomyślał, że nigdy na nikim nie zależało mu tak bardzo. Wyglądała jak zagubiona dziewczynka, która tak naprawdę nie wie, po co przyszła. Pewnie dałaby się teraz poprowadzić za rękę jak dziecko.

Ron stanął nagle, uderzony pewną myślą.

- Wiesz co, poszukaj tej stacji - zaproponował Jeanne.

- Spotkamy się przy stole do pakowania.

Trochę mu było jej żal, kiedy zostawiał ją samą, zdumioną nieoczekiwanym zwrotem wypadków, ale uznał, że pomysł jest wart sprawdzenia. Najpierw więc odszukał Lenore, która jak zwykle była na

swoim stanowisku i jak zwykle rzuciła tęskne spojrzenia w stronę Świętego Mikołaja. Jaką wspaniałą stanowiliby parę, pomyślał Ron, podchodząc do kasjerki. Pyszałkowaty Emmett i pełna zdrowego rozsądku Lenora. Oboje z ostrymi języczkami, co mogłoby im urozmaicić długie wieczory.

- Dawno cię tutaj nie było - zauważyła Lenora.

- Prowadzę jeszcze prywatne życie - odparował.

- Tak jak my wszyscy - stwierdziła ze smutkiem i znowu zerknęła w stronę Emmetta.

Nie ulegało wątpliwości, że ona chętnie związałaby swoje prywatne życie z tym starszym panem.

- Nie przejmuj się - stwierdził Ron. - Emmett musiałby być zupełnie ślepy, żeby cię w końcu nie zauważyć.

Spojrzała na niego bystrze i chciała nawet coś odpowiedzieć, ale w końcu zrezygnowała. Przybrała tylko zawodowo uprzejmą minę i zapytała oficjalnie ugrzecznionym tonem:

- Czy przyszedłeś tu tylko po to, żeby mi to powiedzieć? Ron pokręcił głową.

- Chciałem cię spytać o ulgę pracowniczą Emmetta - zagadnął. - Chyba może kupować tutaj rzeczy taniej, tak jak cały personel, prawda?

Lenora natychmiast odszukała wzrokiem w tłumie Jeanne, co świadczyło o tym, że widzi więcej, niżby się mogło wydawać, a następnie na jej ustach pojawił się drwiący uśmiezek.

- Znowu bawisz się w Świętego Mikołaja? - spytała. - Ciekawe, ile ich jeszcze tutaj przyprowadzisz. Dobrze, że już niedługo święta.

Ron położył rękę na sercu.

- Ta jest ostatnia - zadeklarował. - Przysięgam.

- Ale zniżka, a nie żadna ulga - powiedziała, patrząc na niego z wyrzutem - dotyczy konkretnego pracownika. W tym wypadku Emmetta.

- Emmett nie będzie miał nic przeciwko temu - powiedział Ron. - Posłuchaj, chyba nie chcesz pozbawić syna tej biednej wdowy gwiazdkowego prezentu.

Lenora jeszcze raz przyjrzała się Jeanne.

- Ta biedna wdowa wygląda całkiem nieźle - mruknęła pod nosem Lenora.

- Poza tym Emmett jest jej coś winien - dorzucił jeszcze Ron.

To był zły strzał. Lenora poczerwieniała i spojrzała niechętnie w stronę bieguna północnego, gdzie Emmett emablował kolejną mężatkę.

- Nie, nie, posłuchaj! To nie o to chodzi! - poprawił się Ron. - To moja dziewczyna. Emmett po prostu obiecał coś jej synkowi, a potem nie spełnił obietnicy.

- Wobec tego powinien dołożyć do prezentu z własnej kieszeni - stwierdziła Lenora, chociaż jej twarz wypogodziła się trochę.

- Wiesz, nawet próbowaliśmy - powiedział zgodnie z prawdą Ron. - Niestety, ona nie chce pieniędzy.

Po krótkich negocjacjach sprawa była załatwiona, tymczasem Jeanne zniknęła z pola ich widzenia. Pojawiła się jednak po chwili, dźwigając wielkie pudło.

- To szczęście, że udało jej się znaleźć tę stację benzynową - stwierdziła Lenora. - Wszyscy o nią pytają. Podejrzewam, że to jedna z ostatnich.

Jednak Jeanne wcale nie wyglądała na zadowoloną. Patrzyła raczej niepewnie na wielką stację, której wartość przekraczała stan jej konta. Do licha, znowu wpadnie w długi!

Postanowiła jednak kupić tę zabawkę z nadzieją, że Toby będzie zadowolony. Skierowała się więc do kasy, a następnie postanowiła odszukać Rona przy stole czy raczej długiej ladzie do pakowania.

Ron przywitał ją przed kasami i delikatnie skierował do jednej z nich.

- Dlaczego akurat tutaj? - spytała, ponieważ właśnie przy tej kasie znajdował się długi ogonek.

- Żebyś mogła skorzystać ze zniżki Emmetta.

Jeanne nic nie powiedziała. Kiedy w końcu przyszła ich kolej, upewniła się jeszcze:

- To prawda? Będę mogła skorzystać ze zniżki?

- Dawno pani owdowiała? - spytała ją Lenora z błyskiem w oku.

- W zeszłym roku - odparła automatycznie Jeanne, a potem spojrzała na Rona. - Czy w ogóle mogę skorzystać z tej zniżki? - spytała ponownie.

Ron położył dłoń na jej ramieniu.

- Przynajmniej to ci się należy od Emmetta - stwierdził. - Przecież to wszystko jego wina.

Lenora ze smutkiem pokiwała głową, chcąc zaznaczyć, że zgadza się z tą opinią.

Jeanne wyjęła kartę kredytową, żeby zapłacić, ale Lenora odsunęła ją delikatnie.

- Wolę kartę kredytową Rona albo gotówkę - powiedziała. - W ten sposób nikt mi nie zakwestionuje pokrewieństwa.

Mimo protestów Ron zdołał zapłacić, przy solennych zapewnieniach, że dostanie pieniądze z powrotem. Jednak to nie był jeszcze koniec. Lenora wywiesiła na swojej kasie kartkę z napisem „Przepraszamy, chwilowo nieczynne” i powiedziała:

- Teraz musimy pójść do Emmetta po podpis - oznajmiła.

Jeanne skinęła głową, a Ron ucieszył się jak mały chłopiec.

- Tak! - wykrzyknął. - Chodźmy do Świętego Mikołaja!

Lenora poszła przodem, niosąc przed sobą dokument, który wymagał podpisu. Przed biegunem północnym ustawiła się spora kolejka. Jeanne i Ron chcieli poczekać, ale Lenora pokręciła głową i zaczęła się przepychać przez tłumek rodziców i dzieci. Rodzice oczywiście rozumieli, że chodzi o jakąś sprawę służbową, nie rozumiały tego jednak dzieci, które popiskiwały i patrzyły na Lenorę z wyrzutem.

Również Emmett nie potrafił tego zrozumieć. Dopiero teraz Ron przypomniał sobie o jego metodzie aktorskiej i o tym, że dziadek w tej chwili naprawdę jest Świętym Mikołajem.

Emmett na widok Lenory podniósł się ze swojego miejsca i wskazał jej wyjście.

- Na koniec kolejki - zawyrokował. Lenora wykonała gest ręką w powietrzu.

- Chodzi o podpis - wyjaśniła.

Emmett albo jej nie słyszał, albo nie chciał słyszeć.

- Na koniec! - zakrzyknął raz jeszcze.

- Ty stary przygłupie - syknęła Lenora.

Jednocześnie jakiś mały, może sześciolatek postanowił pomścić krzywdy wszystkich czekających w kolejce i pchnął ją mocno do przodu. Lenora próbowała złapać równowagę, ale nie na wiele się to zdało. Po chwili wylądowała tuż przed Mikołajem, który powodowany jakimś ludzkim gestem chwycił ją w ostatniej chwili.

- Świetnie - rzuciła tylko Jeanne i odbezpieczyła aparat, który dosłownie przed chwilą wyjęła z torby. Pstryknęła kilka zdjęć i podeszła bliżej.

W tym czasie rudowłosa sklepowa fotograf pomagała elfom uspokoić wzburzony tłum dzieci i w ogóle zapomniała o swoim aparacie.

Jeanne sfotografowała jeszcze kilkoro rozżalonych dzieci i zadowolona powróciła do Rona.

- Będą fantastyczne zdjęcia - powiedziała.

- Ale Emmett się wścieknie - mruknął niechętnie Ron.

- Nie wścieknie się, kiedy zobaczy, jak świetnie wygląda z tą kasjerką - oświadczyła uśmiechnięta Jeanne.

- To bardzo miło ze strony Lenory, że pozwoliła mi skorzystać z tej zniżki - powiedziała Jeanne, otwierając furtkę do swojego ogródka. - Tak naprawdę przecież wcale nie jestem uprawniona.

Ron rozejrzał się wokół. Okolica wyglądała wyjątkowo ładnie o zmierzchu, kiedy paliły się świąteczne lampki i lampiony.

- Na pewno cieszy się, że mogła ci pomóc.

- I to bardzo! - Jeanne nie wiedziała, że zniżka wynosi aż trzydzieści procent. - Ale Emmett wpadł we wściekłość. Nie pozwolił nawet się odwieźć.

- Nie przejmuj się, jakoś go ugłaskam. Mam dla niego wspaniałą miskę do moczenia stóp - powiedział Ron ze złośliwym uśmiechem. - I zmuszę go, żeby pozwolił mi na stałe korzystać ze zniżki.

Jeanne pokręciła głową.

- Wątpię, żeby nas tam kiedyś jeszcze wpuścili - zauważyła. - Ten jego szef, Bickel, był bardzo nieprzyjemny.

- Na szczęście Lenora wie, jak sobie z nim radzić. No i jeszcze Emmett wziął ją w objęcia. Co prawda w nieco wymuszony sposób...

- Daj spokój, to wyglądało bardzo naturalnie - przerwała mu Jeanne.

- Po prostu coś między nimi zaiskrzyło. Nie widuje się tego często.

- Tak sądzisz?

Stanęli właśnie przed drzwiami jej domu i Jeanne musiała stwierdzić, że owo „iskwienie” wcale nie jest czymś bardzo rzadkim. Właśnie w tej chwili „zaiskrzyło” między nią a Ronem. Spojrzała na jego pełną napięcia i oczekiwania twarz i poczuła, że drży. Jeszcze w tej chwili mogła się łatwo wycofać i zaniknąć mu drzwiami przed nosem, ale... nie chciała.

Sami nie wiedzieli, jak to się stało, że zaczęli się całować. Najpierw wolno, nieśmiało, jakby zdziwieni tym, co się z nimi dzieje, a potem coraz mocniej i namiętniej.

- Szkoda, że nie mamy tu jemioly - szepnęła w końcu.

- Czy potrzebujesz jakiegoś usprawiedliwienia, żeby mnie całować? - spytał i spojrzał na nią płonącymi oczami.

Jeanne potrząsnęła głową, po czym nastąpił kolejny pocałunek, mocniejszy i bardziej namiętny od poprzedniego, o ile to w ogóle możliwe. Jeanne poczuła, że słabnie. Jednak Ron podtrzymał ją mocno.

- Już? - westchnęła po raz kolejny Jeanne, kiedy w końcu oderwali się od siebie.

- Chcesz jeszcze raz? - spytał Ron. - Tylko uprzedzam, że obserwuje nas twoja mama razem z Tobym.

- O nie! - Jeanne nagle pożałowała tego, co się stało. - To spisek! Spisek Potterów! Specjalnie nas obserwowali!

Ron wzruszył ramionami.

- Jeśli to spisek, to muszę powiedzieć, że bardzo mi się podoba.
Musimy tylko zadbać o to, żeby mieli o czym rozmawiać.

Zanim zdołała zrozumieć, o co mu chodzi, Ron znowu wziął ją w ramiona. Chciała się wyrwać, chciała go odepchnąć, ale okazało się, że nie ma dość siły. Dlatego w końcu przytuliła się do niego z pełną pasją namiętnością.

Pocałunek równie dobrze mógł trwać pół minuty, jak i pół godziny. Jednak tym razem, kiedy odzyskali już kontakt z rzeczywistością, zobaczyli przed sobą Catherine z niebieskim wełnianym swetrem narzuconym na plecy. Matka Jeanne udawała zagniewaną, chociaż w jej oczach płonęły wesołe ogniki.

- Powinniście pomyśleć o tym, że muszę jeszcze nakarmić męża - powiedziała ze sztuczną pretensją w głosie.

- Tak, mamó. Ron już idzie.

- Wcale nie musi. - Catherine uśmiechnęła się nieznacznie. - Macie prezent?

- Tak. I to w dodatku ze zniżką - poinformowała ją Jeanne, zachodząc w głowę, co miała znaczyć poprzednia uwaga matki. - Czy Toby dobrze się bawił?

- Doskonale. Zaprosił Jasona do siebie. Bawili się w jego pokoju i wiecie co... - Catherine zawiesiła głos.

- Oj, mamó! Nie każ mi zgadywać! Przynajmniej nie wtedy, kiedy chodzi o Toby'ego.

- Ale to jest dobra wiadomość, głuptasie - skarciła ją matka. - Otóż chciałam im zanieść coś do picia i usłyszałam rozmowę o prezentach i świętach. Wiecie, co chce dostać Toby? - Zrobiła kolejną efektowną pauzę.

- Co?! - spytał z przejęciem Ron, który nie mógł uwierzyć, że komuś udało się osiągnąć coś, o co on zabiegał od ładnych paru dni. I to w dodatku tak tanim kosztem.

- Zdalnie sterowany samochód.

- Zdalnie sterowany samochód? - powtórzyli niemal równocześnie Ron i Jeanne.

Na szczęście Toby poszedł już spać i nie mógł ich słyszeć.

- Zdalnie sterowany samochód - powtórzyła Catherine.

- Taki na radio. Zdaje się, że można nim jeździć po ulicy.

- Po ulicy? - zaniepokoiła się Jeanne.

- Albo po parku, albo nawet po domu - uspokoił ją Ron.

- Chyba będziemy musieli ponownie skorzystać ze zniżki Emmetta.

Kupię ten samochód i zatrzymam u siebie. Stacja benzynowa bardzo się tutaj przyda.

Jeanne nie mogła na to pozwolić.

- Ależ nie, to przecież taki kłopot.

Mina Rona wskazywała, że to żaden kłopot i Catherine chyba wyczytała to z jego twarzy.

- Ostrzegam cię, że Jason już przetrząsa swój dom w poszukiwaniu prezentów - zwróciła się do córki. - Toby zapowiedział, że też to zrobi.

Jeanne westchnęła.

- No dobrze. - Spojrzała na Rona. - I tak już się bardzo zaangażowałeś w całą sprawę.

W tym momencie drzwi skrzypnęły i pojawiła się w nich jasna główka Toby'ego, którego wcześniej babcia posłała do łóżka.

- Hej, co się dzieje? Ja też chcę się bawić - powiedział chłopiec.

Co prawda był ubrany w piżamkę, ale opatulił się ciepłą kurtką, a na nogach miał wielkie bambosze z uśmiechniętymi psimi pyskami. Zresztą dzieci z tych okolic rzadko marzły.

- Cześć, mały. - Ron pogłaskał go po główce. - Już muszę iść.

- Cześć, Ronny. Może ze mną pograsz?

- Nie, dziś nie mogę. Po pierwsze, już późno. Po drugie, muszę jeszcze trochę popracować.

- Myślałam, że masz wakacje - powiedziała Jeanne.

- Tak, ale przy okazji piszę coś tam dla „Clariona”. Nic wielkiego. No, to żegnam wszystkich.

Uśmiechnął się do nich, a następnie przeszedł odśnieżonym chodniczkiem wprost do furtki. Wyszedł na ulicę, świadomy tego, że śledzą go trzy pary oczu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ron wciąż jeszcze tkwił przy swoim laptopie, kiedy Emmett przyjechał do domu. Było już po dziesiątej. Ron zaczął nasłuchiwać i po chwili odkrył, że dziadek nie jest sam. Wkrótce też stwierdził, że wesoły sopran należy do Lenory, a pohukujący bas oczywiście do Emmetta.

Po chwili oboje pojawili się w salonie.

- Ron? Jeszcze nie śpisz? - spytał Emmett, jakby Ron miał zwyczaj chodzić spać razem z kurami.

- Emmett i Lenora razem?! - wykrzyknął Ron. - Jeśli połączycie siły, to nikt nie będzie miał z wami szans.

Lenora pogroziła mu palcem.

- Oj, zdaje się, że sam przyłożyłeś do tego ręki.

Zacząli rozmawiać o tym, co wydarzyło się w sklepie, i Emmett oczywiście nie był zadowolony. Jednak kiedy pojawił się temat samochodu sterowanego radiem, zgodził się łaskawie użyczyć swoich uprawnień.

- Przyniosę ci rachunek do podpisu - powiedziała Lenora i mrugnęła do Rona.

- Nie, nie! - Emmett zamachał gwałtownie rękami. - Sam przyjdę i podpiszę. Jeszcze zanim kurtyna pójdzie w górę.

Chodziło mu oczywiście o początek pracy. Ron przypomniał sobie o tekście, który pisał. Nie zrobił zbyt wiele, niemniej jednak zapamiętał te półtorej stronniczki i już miał zamiar opuścić dziadka i Lenorę, kiedy Emmett pomachał w jego stronę zieloną kopertą.

- Hej, mam coś dla ciebie. Było w skrzynce.

Ron wziął kopertę z rąk dziadka i otworzył. Po chwili na jego wargach pojawił się uśmiech.

- No i co? - spytał zaciekawiony Emmett.

- Zaproszenie na kulig - powiedział Ron. - Ciekawe, czy będzie ognisko?

- Elaine to dobra dziewczyna - stwierdził Emmett. - To ta, której poprzednio fundowałaś prezenty - zwrócił się do Lenory.

Lenora pokiwała głową.

- A tak, pamiętam. Bardzo miła.

Ron spojrzał uważnie na dziadka. Czyżby był aż tak domyślny? A może miał tylko dobry wzrok albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, sprawdził adres nadawcy po wyjęciu listu ze skrzynki.

- Ron mógł się z nią ożenić po szkole - wyjaśnił Emmett.

- Niestety, wolał studia...

Ron nie podjął dyskusji na ten temat.

- Ciekawe, dlaczego mnie teraz zaprasza? - zaczął głośno myśleć.

- Żeby ci pokazać, że jest jej dobrze, że jest szczęśliwa - stwierdził Emmett.

- To możliwe - zgodził się Ron, pamiętając, jak niezręcznie czuła się Elaine w czasie ich ostatniego spotkania.

- Chyba powinieneś się do niej wybrać - zauważyła Lenora, która dotąd przysłuchiwała się tylko rozmowie. - Należy jej się jakieś zadośćuczynienie za szkolne lata. To nic przyjemnego być porzuconą.

- Wcale nie chciałem jej porzucić. Po prostu wyjechałem na studia - tłumaczył się Ron.

- A potem wróciłbyś do niej jak potulny baranek? - zapytał kpiąco Emmett. - Jedź, jedź.

- Jeszcze się zastanowię - powiedział ponuro Ron.

- Możesz wziąć ze sobą tą ładniutką wdowę - stwierdziła Lenora. -

W ten sposób wszyscy będą mogli wszystkim zaimponować.

Ron uznał, że to zupełnie niezły pomysł. Dzięki kuligowi Jeanne odprężyłaby się trochę i przestała myśleć o świątecznych przygotowaniach. A może pomyślałaby milej o samych świętach?

Rozmowa się urwała. Wszyscy troje stali przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co dalej. W końcu Lenora chrząknęła.

- Hm, ktoś mi chyba obiecywał sherry - powiedziała.

- Chętnie bym się wzmocniła. Dzisiejszy wieczór był bogaty w wydarzenia. - Spojrzała znacząco na Emmetta.

Starszy pan sponił się jak kilkunastoletnie pacholę i rzucił się do barku. Otworzył go i zaczął szukać właściwej butelki.

- Gdzie jest ta cholerna sherry, Ron? - dopytywał się.

- W kuchni - odpowiedział Ron. - Nie pamiętasz? Dodawaliśmy ją do deseru.

Emmett skinął głową i wyszedł. Po chwili wrócił z napelnioną do połowy butelką i trzema kieliszkami. Jednak Ron pomyślał, że nie powinien przeszkadzać parze, i wycofał się z laptopem do swojej sypialni.

- Kulig? Dzisiaj wieczorem? Przecież mamy już piątek! Święta za pasem! - Jeanne przechadzała się z telefonem bezprzewodowym po swojej pracowni i co i rusz poprawiała krzesła albo fragmenty dekoracji.

- Jasne, że nie jestem specjalnie zadowolona - ciągnęła.

- Posłuchaj, muszę w tej chwili zająć się śniadaniem pewnego pięciolatka, a także przygotować pracownię. Niedługo mam klientów z chóru kościelnego.

- Jak chcesz, mogę ci pomóc - powiedział Ron. - Przyjadę i zajmę się Tobym.

Na ustach Jeanne pojawił się ciepły uśmiech. To naprawdę miło z jego strony.

- Tak, a później będę musiała robić remont zdemolowanego mieszkania - zauważyła. - Powiedz przynajmniej, co to za spotkanie.

- Nic wielkiego - odparł Ron. - Po prostu doroczne przedświąteczne zebranie starych kumpli ze szkoły.

- Mam rozumieć, że przyjeżdżałeś na nie co roku? - zdziwiła się Jeanne.

- No, nie. Zwykle nie miałem czasu. Ale niedawno spotkałem moją dawną dziewczynę... Teraz szczęśliwą matkę i żonę - dodał szybko. - Właśnie ona mnie zaprosiła. I to wczoraj. Kiedyś to był kulig z ogniskiem, ale teraz nie wiem, jak to organizują.

Jeanne zastanawiała się przez chwilę, ale bynajmniej nie próżnowała. Wyjęła z szafki nowy film i położyła go obok statywu, na którym ustawiła aparat z szerokokątnym obiektywem.

- To jak, mam przyjechać po ciebie? - spytał raz jeszcze Ron.

- Nie.

- Nie?

- Mam dla ciebie inną misję - poinformowała go Jeanne. - Tak jak ustaliliśmy, musisz kupić ten samochód. Zupełnie nie mam na to czasu.

- Załatwione - powiedział Ron. - Już rozmawiałem z Emmettem. Czy to wszystko, czego życzył sobie Toby? Nie miał innych próśb?

Catherine podzieliła się z nią wczoraj tym, co podsłuchiwała. Toby wyraził jeszcze jedno życzenie, ale Jeanne nie zamierzała informować o tym Rona.

- I tak dostanie sporo prezentów - stwierdziła. - Powiedz jeszcze o tym kuligu. Będziesz gwiazdą wieczoru?

Ron szczęśliwie nie upierał się, by kontynuować temat prezentów. Zaczął mówić, a w jego głosie pojawiła się zaduma:

- Wiesz, kiedyś może starałbym się błyszczeć za wszelką cenę. Dziś jednak odnoszę wrażenie, że zatoczyłem koło. Miałem wspaniałą dziewczynę, normalne życie i... zrezygnowałem z tego. Teraz chcę zacząć wszystko od początku. Z tobą.

Jeanne poczuła, że coś ją ścisnęło w żołądku. Usiadła na jednym z krzeseł przeznaczonych dla członków chóru i zwilżyła wargi czubkiem języka. Te same wargi, które Ron potrafił tak wspaniale całować. Sama nie wiedziała, czy traktować to, co przed chwilą usłyszała, jako oświadczenia, czy tylko element flirtu.

- Jesteś tam, Jeanne? - Głos Rona dobiegał z daleka, bardzo daleka.

- Tak, myślę.

- Wiem, że możesz mieć opory - ciągnął. - I nie czuć się zbyt dobrze.

- Tak sądzisz? - spytała ostro.

- Przecież nie znasz tam nikogo - powiedział Ron. - To wszystko moi starzy kumple.

A więc mówił o tym spotkaniu! Wyłącznie o spotkaniu. Jeanne miała ochotę się roześmiać.

- No to jak, pojedziesz? - spytał ponownie Ron. Jeszcze chwilę trzymała go w niepewności.

- Pojadę, Ron - poinformowała go w końcu. - Pojadę.

I nie czekając na oznaki radości rozmówcy, odłożyła słuchawkę.

Ron musiał przyznać, że tak naprawdę nigdy nie rozumiał kobiet. Znacznie łatwiej udawało mu się pojąć reguły rządzące plemionami i szczepami, z którymi stykał się w czasie swoich podróży. Może dlatego, że kierowała nimi jednak pewna logika. Wystarczyło odkryć przesłanki, a reszta przychodziła sama.

Natomiast Jeanne Trent wcale nie była logiczna. W czasie jednej krótkiej rozmowy potrafiła na przykład parę razy zmienić nastrój. Ron naprawdę nie miał pojęcia, dlaczego.

Zresztą z nim też działo się coś dziwnego. Na przykład teraz, w ten piątkowy wieczór, powinien czuć się szczęśliwy, że może zabrać Jeanne na wspólny kulig. Jednak nagle opanowały go wątpliwości. Czy rzeczywiście Jeanne jest kobietą jego marzeń? Czy naprawdę musi się posuwać aż do oświadczeń?

Ron raz jeszcze przycisnął guzik dzwonka. Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Jeanne. Wyglądała ślicznie w czerwonym stroju.

- Przepraszam, że kazałam ci czekać - powiedziała. - Byłam w łazience.

Wątpliwości Rona stopniały niczym mały kawałek lodu w silnym słońcu. Jeanne wyglądała bardziej na nastolatkę niż dwudziestosześcioletnią kobietę.

- Dokąd jedziemy? - spytała w przedpokoju, gdzie go zaprosiła, wkładając narciarską kurtkę i długie buty.

- Na wschód, do Marlowe - poinformował ją. - To takie miasteczko tuż przy granicy ze stanem Wisconsin.

Kiedy była już gotowa, wyszli przed dom, gdzie czekał na nich wynajęty przez Rona samochód. Ten sam, którym zawsze jeździli razem.

- Wuj Elaine, Chet, ma tam olbrzymi sad - ciągnął Ron. - A w czasie zimy organizuje kuligi, żeby podreperować swój budżet.

- Twoja była dziewczyna ma na imię Elaine? - spytała.

- Jak to odgadłaś?

- Z tonu twojego głosu - odparła ze wzruszeniem ramion. -

Wymówiłaś jej imię w szczególny sposób.

- Po dziesięciu latach?

- Nie ma w tym nic dziwnego - potwierdziła. - Oczywiście, jeśli naprawdę byłeś z nią związany.

Ron posłał Jeanne jeszcze jedno pełne podziwu spojrzenie. Być może on nie rozumiał jej, ale ona jakimś cudem potrafiła doskonale zrozumieć jego, niemal przejrzeć go na wylot.

W Marlowe niewiele się zmieniło. Ron bez trudu dotarł do wielkiego domu Cheta położonego obok stajni i innych gospodarskich budynków. Na olbrzymim podwórku stało już kilka zaparkowanych samochodów.

Jeanne niezbyt chętnie wysiadła z auta, ale już pierwsze spojrzenie na okolicę poprawiło jej humor.

- Bardzo tu ładnie - powiedziała.

Ron objął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego mocno. Patrzyli na pejzaż oświetlony księżycowym blaskiem. Sad składał się z niewielkich owocowych drzewek, ale wokół domu rosły prawdziwe kolosy. Znak, że rodzina Cheta była związana z tą ziemią od stuleci.

Coś się działo przy jednej z szop, więc Ron i Jeanne ruszyli w tamtym kierunku. Po chwili dostrzegli niewielkie ognisko i kilka postaci stojących przy zabytkowych saniach, do których zaprzęgano właśnie po dwa czarne jak noc konie. Kiedy oboje znaleźli się w kręgu światła,

rozległy się krzyki i pohukiwania. Niektórzy nie mogli uwierzyć, że Ron jednak skorzystał z zaproszenia.

Ron starał się to przyjąć naturalnie. Przedstawił wszystkim Jeanne, a następnie chciał z nią przykucnąć przy ogniu. Jednak jeszcze z czasów szkolnych pozostał zwyczaj, że dziewczyny siadały po jednej stronie ognia, a chłopcy po drugiej. Jeanne od razu to zauważyła i znalazła się w kropce. Miała też ochotę porobić zdjęcia, wzięła nawet czułą kliszę, ale nie wiedziała, jak zostałyby to przyjęte przez starych kumpli Rona.

W porównaniu z dawnymi laty zmieniło się to, że ognisko było na początku kuligu, a potem zaproszono wszystkich do jadalni. Również jedzenie było inne. Kiedyś wystarczały im kielbaski i tanie wino, które do trzeciej klasy przemycali w nogawkach szerokich, narciarskich spodni. Teraz dostali różne wyszukane potrawy, jak również grog i grzane piwo.

Ron rozsiadł się na wielkiej tapicerowanej ławie, najadł się, napił i w pewnym momencie dotarło do niego, że powinien poszukać Elaine i podziękować jej za zaproszenie. Parę razy minęli się w przelocie, ale jakoś nie mieli okazji porozmawiać.

Ucałował Jeanne w policzek i poszedł szukać Elaine. Znalazł ją bardzo szybko, ponieważ właśnie wychodziła z kuchni. Na kuligu pełniła poniekąd rolę gospodyni.

Jeanne patrzyła niepewnie na dawną parę. Zaniepokoiło ją zwłaszcza to, że Ron ucałował koleżankę tak samo jak ją przed chwilą. To nic, to tylko powitanie, mówiła sobie w duchu.

Już wcześniej zwróciła uwagę na wspaniałą, pachnącą choinkę, stojącą w rogu jadalni. Teraz stwierdziła, że drzewko stanowi też doskonały punkt obserwacyjny. Udając, że podziwia bombki i łańcuchy, podeszła do niego, a następnie zerknęła zza gałęzi w stronę Rona i Elaine.

Niestety, nigdzie ich nie było. Zniknęli.

Przez chwilę jeszcze udawała, że podziwia choinkę, a następnie zajrzała do drugiego pokoju. Paru mężczyzn, w tym Tony, mąż Elaine, grało w pokera, przerzucając się wesołymi powiedzonkami.

Niestety, tu również nie było ani Rona, ani Elaine. Świat zawirował przed oczami Jeanne i pomyślała, że wypła jednak za dużo grzanego piwa.

Przypomniała sobie zdjęcie, które wcześniej pokazywał jej Chet. Widniała na nim cała rodzina Rosettich: Tony, Elaine i ich pięciu synów. Wszyscy wyglądali na zadowolonych, wręcz szczęśliwych.

Jeanne doskonale wiedziała, jak się tworzy pozory na zdjęciach. Przypomniała sobie rękę Rona na grzbiecie Fu-Fu i zachciało jej się śmiać.

Przeszła do kuchni. Po drodze spotkała ciotkę Doreen, żonę Cheta, która do wszystkich zebranych mówiła po imieniu.

- Jesteś głodna, Jeanne? - spytała.

- Może trochę.

- W kuchni znajdziesz małe pączki z naszej cukierni. Spróbuj. Są naprawdę świetne. Elaine i Ron uwielbiali zaglądać do cukierni, kiedy tu przyjeżdżali - trajkotała ciotka, która była z natury bardzo gadatliwa, a chyba nieczęsto miała aż tylu gości na raz. - Powinnaś poprosić Rona, żeby zabrał cię tam jutro.

- Jutro? Myślałam, że dzisiaj wyjeżdżamy - powiedziała niezbyt pewnym tonem Jeanne.

Doreen uniosła ręce do góry.

- O Boże! Przecież nie dawałabym Ronowi tyle alkoholu, gdybym wiedziała, że chcecie jechać.

- Muszę ustalić to z Ronem - stwierdziła stanowczo Jeanne. -

Widziała go gdzieś pani?

- Wychodził przed chwilą na korytarz z Elaine - powiedziała Doreen.
- Pewnie udali na górę powspominać dawne czasy.

Jeanne ruszyła w ślad za nimi. Przystanęła na chwilę w ciemnym przedpokoju, czekając, aż jej się oczy przyzwyczają do mroku.

A potem ich zobaczyła. Widziała ich aż nazbyt dobrze. Ron i Elaine stali na schodach i całowali się!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Jeanne! - Na jej widok oderwali się od siebie. Elaine wyciągnęła rękę, jakby chciała ją pogłaskać, ale Jeanne odsunęła się w kąt.

- Nie... nie będę wam przeszkadzać!

Zauważyła, że Ron przesuwa się w jej kierunku, więc wpadła do pierwszego lepszego pomieszczenia i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

- Jeanne! Zaczekaj! - poprosił niezbyt głośno.

- To znaczy, że mam być cicho? - Głos jej drżał. - Jest mi wstyd, potwornie wstyd, że stanowią przykrywkę dla waszych niecnym...
niecnym... - szukała słowa.

- Nie wygłupiaj się!

Jeanne zaczęła się wycofywać w głąb pomieszczenia. Miała nadzieję, że znajdzie stąd jakieś wyjście. Do większości pokoi prowadziły dwie pary drzwi. Tyle że to nie był pokój. Po chwili usłyszała skrzypnięcie. Przesunęła się jeszcze dalej i poczuła pod plecami półkę.

- Masz ochotę na galaretę? - usłyszała rozbawiony głos Rona. - Albo swojską szynkę?

W powietrzu unosiły się przeróżne smakowite zapachy. Znajdowali się w spiżarni.

- Nie podchodź do mnie, bo będę krzyczeć! - zagroziła. Usłyszała lekkie pstryknięcie i tuż nad ich głowami zapaliła się goła żarówka. Zobaczyli półki zastawione słoikami z przetworami. Na hakach wisiało trochę wędlin. W kamionkowych garach znajdowały się zapewne ogórki.

- Ty draniu! - warknęła.

- Nie odpowiadam za to, że się zgubiłaś.

- Nie zbliżaj się, bo rozwalę ci łeb tymi grzybkami - powiedziała, biorąc z półki jeden ze słoików.

Ron jednak się zbliżył. Poczula na swojej twarzy jego dłoń, a jej ręka osunęła się w dół. Jeanne zaczęła płakać. Ron zabrał od niej słoik i odstawił go na półkę.

- Nienawidzę cię - powiedziała.

- To już jest coś - stwierdził. - Do tej pory nie darzyłaś mnie żadnym uczuciem. Teraz przynajmniej wiadomo, na czym stoimy.

Jeanne spojrzała na niego ze zdziwieniem. W jego głosie nie było strachu. Tak, jakby wcale się nie bał, że może go wydać.

- No, a co będzie z małymi Rosettimi i z Tonym?! - spytała dramatycznie.

- Nie zmieniaj tematu! Porozmawiajmy o nas!

- O nas?! A o czym tu rozmawiać? - podniosła głos Jeanne. - Wybrałeś mnie, ponieważ przypominałam Elaine. Też cenię dom i rodzinę. No, a teraz masz, czego chciałeś!

- Od początku traktowałaś mnie jak intruza! - Wyciągnął oskarżycielsko palec w jej stronę. - Tyle razy dawałaś mi do zrozumienia, że ci na mnie nie zależy i że traktujesz tę znajomość jak epizod.

Jeanne poczuła się winna. Wbrew oczywistym faktom, wbrew całej sytuacji.

- Nie chciałam cię zranić - powiedziała. - Jasne, że mi na tobie zależy. Czy inaczej bym tutaj przyjechała? Ale przecież teraz masz Elaine! Ron tylko machnął ręką.

- Zapomnij o Elaine - powiedział. - To nic ważnego. Wyjaśnię ci później. Najwyższy czas porozmawiać o nas.

- To Tony będzie musiał zapomnieć... - zaczęła, ale Ron nie pozwolił jej skończyć. Zakrył jej usta dłonią. W jego oczach pojawił się gniew.

- Dobrze, powiem ci. To było podziękowanie za prezenty dla dzieci - wyjaśnił. - Pamiętasz tę forszę, którą przesłaliśmy ci z Emmettem? Czuję, że nie należy do mnie, więc kupiłem za nią prezenty dla małych Rosettich. Urządziliśmy to z Lenorą w taki sposób, że miała to być nagroda za coś, sam nie wiem za co. No i Elaine właśnie wszystkiego się domyśliła.

Jeanne spojrzała na Rona najpierw z niedowierzaniem, a potem z nagłą pewnością, że nie może kłamać. Znała go. Wszystkie jego wady, włączając w to egoizm i pyszałkowatość, którą zapewne odziedziczył po dziadku. Wiedziała więc, że nie potrafiłby skłamać w tak ważnej sprawie.

- Och, Ron. Przepraszam - szepnęła. Pokiwał tylko wyrozumiale głową.

- Nie mogłaś o tym wiedzieć. Tony wiedział - dodał po chwili, dotykając swoich warg. - Wiedział, ale na szczęście zdecydował się mnie nie całować.

Jeanne uśmiechnęła się. Po raz pierwszy, od kiedy zobaczyła Rona i Elaine w drzwiach kuchni. Ron zaproponował, żeby wyszli. W spiżarni było potwornie zimno. Niezbyt pewni, co robić dalej, przysiedli na schodach.

- Jeśli cię to w dalszym ciągu interesuje, to zależy mi na tobie - powiedziała Jeanne.

- Więc dlaczego tak się opierałaś? - Zajrzał jej w oczy, chociaż nie mógł zbyt wiele widzieć w ciemnym korytarzu.

- Nie domyślasz się? Ze strachu przed mężczyzną, który do tej pory tylko podróżował, był wolny jak ptak i nie ma pojęcia, czym jest rodzina.

- Och, Jeanne. Wiesz przecież, że to nie tak. - Ron coraz bardziej zbliżał twarz do jej twarzy. - Chcę cię pocałować.

- Zdaje się, że chętnie byś całował wszystkie kobiety - zauważyła ironicznie, odsuwając się od niego. - Pewnie za dużo wypieś. A tak swoją drogą, Doreen chciała z tobą pogadać.

- O czym?

- Zdaje się, że wszyscy zostają na noc? Ron skinął głową.

- Tak zawsze było - potwierdził. - Nic ci nie mówiłem, bo bałem się, że nie zechcesz przyjechać. Na razie nie możemy stąd się ruszyć, ale przed nami jeszcze kulig. Może trochę wytrzeźwieję. Poradziłabyś sobie z załatwieniem opieki dla Toby'ego?

- Jest u rodziców. Musiałabym zadzwonić - odparła, a potem zaraz ugryzła się w język.

Ron ochoczo przystał na to.

- Chodź, zadzwonimy z kuchni. - Wziął ją za rękę.

Jeanne pomyślała, że słowo się rzekło i że teraz trudno by jej było się wycofać. Przeszli do kuchni, gdzie zastali Doreen. Z jadalni dobiegały do nich dźwięki kolędy. Całe towarzystwo bawiło się w najlepsze.

- Przejdź lepiej do pracowni Cheta - poradziła Doreen Jeanne, widząc, że sięga po słuchawkę starego, wysłużonego aparatu. - Będziesz mogła spokojnie rozmawiać.

Wyszły na korytarz i Doreen wskazała jej drogę. Po powrocie Doreen mrugnęła do Rona.

- Wygląda na to, że zostajecie, co? Ron uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jasne. Tylko czy macie dla nas pokój? - zaniepokoił się.

- Ten sam, który pomagałeś remontować czternaście lat temu - padła odpowiedź. - Pogadaj z Jeanne. Jeśli woli żeńskie towarzystwo, mogę spać z nią, a ty przejdiesz do Cheta. Musisz tylko wziąć dużo waty, bo on strasznie chrapie.

Ron wznosił oczy ku niebu. Nie, Jeanne na pewno nie pozwoli, żeby spał w takich warunkach.

- Pewnie mamy szczęście, że udało nam się dostać cały pokój - powiedziała Jeanne z niezbyt pewną miną.

Kulig udał się wspaniale. Oboje byli zaróżowieni i odświeżeni, chociaż być może twarz Jeanne pokraśniała też z innego powodu.

- Tak, nikt tutaj nie chciał spać - stwierdził Ron, waląc się na jedno z dwóch wąskich łóżek. - Pewnie dlatego, że jest szczytowy i trudno go ogrzać. Wspaniała wycieczka. Padam ze zmęczenia.

Jeanne spojrzała niepewnie na Rona ubranego w żółtą piżamę i pomyślała, że sama wygląda chyba dosyć głupio w koszuli nocnej Doreen.

- Wcale nie zamierzałeś mi powiedzieć o propozycji Doreen, prawda? - spytała.

Ron westchnął.

- Nie chciałyś chyba, żebym spał z Chetem. Potwornie chrapie.

Jeanne tylko pokręciła głową.

- Zgubi mnie to moje dobre serce - powiedziała, przysiadłszy na swoim łóżku.

Było już dobrze po północy, ale jakoś żadne z nich nie mogło zasnąć.

Ron wyciągnął do niej rękę.

- Chodź bliżej.

Spojrzała na niego, na jego umięśnione ciało, i pomyślała sobie, że jest przecież kobietą przynajmniej troszkę doświadczoną. W końcu była mężatką.

- Sama nie wiem, Ron. Chyba nie jestem jeszcze gotowa.

- To chociaż połóż się obok mnie, przynajmniej się trochę ogrzejemy.

Nigdy nie kładła się do łóżka z innym mężczyzną niż David. A Ron prawdopodobnie robił tego rodzaju propozycje wielu kobietom.

- No co? Nie jest ci zimno? - ponaglał ją Ron. Znowu pokręciła głową.

- Przecież wiesz, że nie o to chodzi - stwierdziła po prostu.

- Tak, wiem - powiedział. - Po prostu bardzo chcę, żebyś była blisko.

Tym ją rozbroił. Z westchnieniem przeniosła się na łóżko Rona i położyła obok niego. Ledwo się teraz mieścili na wąskim pościeliu. Z konieczności musiała mocno przytulić się do Rona.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy cię do niczego nie będę zmuszał. Że zawsze możesz liczyć na moją... - Zamknęła mu usta pocałunkiem.

Ron bał się ją spłoszyć. Natomiast Jeanne, która stwierdziła, że nie na darmo przeniosła się na łóżko Rona, pieściła go w delikatny, ale znaczący sposób. Jej dłoń wędrowała po jego ciele, wślizgując się co jakiś czas pod pizamę.

Ron chciał, żeby była to wyłącznie jej decyzja. Położył się na plecach, z przyjemnością czując część jej ciężaru na sobie. Po chwili pieszczoty stały się coraz bardziej natarczywe, coraz bardziej płomienne. Ron czuł, że już nie potrafi nad sobą zapanować.

Jednym ruchem zsunął przez głowę koszulę nocną Doreen. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

- Och, Jeanne - szepnął.

Położyła mu palec na ustach. Teraz on zaczął ją pieścić, mając ją ciągle nad sobą. Z ust Jeanne wydobywały się głębokie jęki rozkoszy, ale oboje pilnowali się, świadomi tego, że mają przecież sąsiadów.

Przynajmniej po jednej stronie.

Pieszczoty nasiliły się. Doszli już do punktu ostatecznego, z którego nie było powrotu. Ich ciała topniały w żarze. Jeanne zdołała szybkim ruchem zdjąć spodnie od piżamy Rona i połączyli się nagle w miłosnym uniesieniu.

- Och, jak dobrze! - jęknęła Jeanne, gdy zmęczeni leżeli obok siebie.

- Już prawie zapomniałam, jak to jest.

- Widzisz, obiecywałem ci uroczą przejażdżkę, a miałaś aż dwie - powiedział Ron.

- Nie bądź taki mądry, bo pójdziesz spać do stodoły - odparowała.

- Dzień dobry, dziadku - przywitał Emmetta Ron, spoglądając na niego znad swojego laptopa. - Czy możemy już przyjąć, że wstałeś?

Emmett wciąż miał na sobie piżamę, chociaż dochodziło południe.

- Do licha, mamy chyba sobotę, prawda? - spytał i zaznaczył swój stosunek do soboty głośnym ziewnięciem.

- Już prawie jedenasta - zauważył Ron. - Zostało jeszcze trochę kawy.

Emmett pokiwał głową i podreptał do ekspresu.

- Proszę, proszę, a ty jaki ambitny - powiedział zgryźliwie. - Nie było cię całą noc, a teraz od razu zabrałeś się do pracy.

- Wyspałem się - skłamał Ron. - Poza tym jestem przyzwyczajony do pracy w ekstremalnych warunkach.

- Masz na myśli mój dom? - zaniepokoił się Emmett.

- Mówię ogólnie. Zresztą mam nóż na gardle. Jutro muszę oddać ten artykuł do „Clariona”.

- Zdecydowałeś się na tytuł?

- „Z powrotem w domu” - zacytował Ron. Emmett pochylił się nad ekranem laptopa.

- Wczorajsza wycieczka stała się jakby wyprawą w głąb czasu, ale też w przyszłość. Odnalazłem wartości... - przeczytał Emmett. - Znowu jeździliście tymi saniami do lasu?

- Mhm - odparł Ron.

- Dobrze się bawiłeś?

- Doskonale.

- A Jeanne?

- Chyba też. - Ron starał się odpowiedzieć możliwie naj-
obojętniejszym tonem, ale Emmett nie dał się chyba na to nabrać.

- Ożenisz się z nią?

- Z kim? - Ron postanowił udawać głupiego.

- Oczywiście, że z Jeanne.

Ron zmierzył się z dziadkiem wzrokiem.

- A czy ty ożenisz się z Lenorą? Zapewniam, że jest tego warta.

- Jeanne też - powiedział na to Emmett.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę. Czekali, który z nich odezwie się pierwszy. W końcu nie wytrzymał Emmett.

- To prawda, że Lenora jest naprawdę świetna - przyznał. - Jednak z drugiej strony nie wiem, czy wiązać się z nią formalnie. To jednak poważne zobowiązanie dla mężczyzny.

Ron tylko pokiwał głową.

- Jasne, jest przecież od ciebie ze dwadzieścia lat młodsza. Prowadzi bardziej aktywne życie i pewnie jeszcze przez parę lat będzie pracować u Grace'ów.

Emmett poczerwieniał na twarzy.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem dla niej za stary?

- Warto dać jej szansę znalezienia partnera na całe życie - powiedział Ron.

Emmett znowu chciał gwałtownie zareagować, ale tylko machnął ręką.

- Czasami zapominam, że mam osiemdziesiąt lat - stwierdził niechętnie. - No cóż, może jednak Lenora by mnie zechciała. Czuję się zupełnie nieźle. No i nie wymagam przecież opieki.

Ron uśmiechnął się pod nosem. Z dyktatora Emmett zamienił się nagle w nieśmiałego petenta. W tej chwili było to wygodne, ale Ron nie chciał, żeby tak zostało.

- Idź już do łazienki, dziadku - powiedział, unikając w ten sposób odpowiedzi na zadane pytanie. - Zaraz przygotuję śniadanie.

Jednak kiedy Emmett zniknął już w łazience, Ron nie chwycił za garnki i patelnie, a jedynie za słuchawkę telefonu. Następnie wybrał numer telefonu Jeanne.

- Mamo, mammo! Ronny chce z tobą rozmawiać! Jeanne usiadła gwałtownie w wannie.

- Gdzie jest? Przyjechał? - spytała niespokojnie.

- W telefonie. On jest w telefonie - tłumaczył jej cierpliwie Toby. - Chce rozmawiać.

- A gdzie jest Angie? - drażyła dalej Jeanne.

- Tu jestem - usłyszała za drzwiami głos siostry. Cała rodzina zebrała się teraz właśnie tu, przy łazience.

- Angie, odbierz telefon i powiedz Ronowi, żeby chwilę zaczekał.

Jeanne wynurzyła się z wody. Oplukała się jeszcze pod prysznicem, a następnie zaczęła wycierać miękkim ręcznikiem. Po paru minutach, okręcona różowym szlafrokiem i w mokrych klapkach, wyszła z łazienki.

- No, gdzie ten telefon? - spytała, widząc zdezorientowaną siostrę. Angie rozłożyła ręce.

- Toby mi zabrał - powiedziała. - Zabrał i uciekł. To dziecko wcale mnie nie chce słuchać - poskarżyła się na koniec.

Jeanne miała teraz jednak pilniejsze sprawy niż wysłuchiwanie żalów siostry.

- Jak można tak się dać omotać dziecku - rzuciła tylko, idąc w stronę pokoju Toby'ego.

Angie postępowała za nią krok w krok.

- Nic na to nie mogę poradzić, on już taki jest - ciągnęła siostra.

Jeanne machnęła ręką. Wolą zachować siły na rozmowę z Ronem, niż dać się wciągnąć w bezsensowną dyskusję.

Nie musiała nawet wchodzić do pokoju Toby'ego. Syn stał w korytarzu i opowiadał właśnie Ronowi o choince u Jasona i o

przygotowaniach do świąt u dziadków. Jeanne wyciągnęła rękę i przejęła od niego bezprzewodowy telefon. Angie wycofała się dyskretnie do kuchni.

- Cześć, nie przeszkadzam ci? - usłyszała głos Rona.

- Nie, to znaczy tak - poprawiła się. - Mam dzisiaj prawdziwe urwanie głowy. Muszę nadrobić wczorajsze zaległości.

- Nie znajdziesz dla mnie czasu? - Próbował ukryć rozczarowanie. - Chciałbym dziś do was zajrzeć, pobawić się z Tobym...

- Przykro mi, Ron, ale nie będę miała wolnej nawet minuty.

- A wieczorem?

- Jeszcze gorzej - odparła. - Obiecałam pomóc rodzicom. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. W końcu usłyszała nieco zmieniony głos Rona:

- Hm, a jeśli idzie o wczoraj. Czy nie miałaś wrażenia, że jest to...

- Z góry skazane na przegraną? - wpadła mu w słowo, przechodząc do swojej sypialni, gdzie czekało na nią ubranie.

- Coś wspaniałego - skończył Ron.

Jeanne zerknęła w stronę drzwi i zniżyła głos:

- Dla mnie to też było wyjątkowe - potwierdziła. - Ale wiesz, jak jest.

- Nic nie wiem! Westchnęła głęboko.

- Muszę przemyśleć całą sprawę - powiedziała. - Pamiętaj, że nie chodzi tylko o mnie. Muszę myśleć za nas dwoje.

Ron poczuł się nagle odrzucony, niepotrzebny.

- No to myśl - mruknął.

- Pomyślę. Cześć, Ron. - Odłożyła słuchawkę. Ron z dużą siłą cisnął swoją słuchawkę o widełki.

- Kawałek lodu - mruknął pod nosem. - Kawałek lodu. Wyświeżony i ogolony Emmett zajrzał na chwilę do kuchni.

- Chcesz powiedzieć, że będziemy mieli lody na śniadanie? - spytał.

Ron pokręcił głową.

- Nie, dziadku. Kawałek lodu na całe życie.

Ron nie miał zamiaru ruszać się z domu. Koło drugiej wpadła do nich Lenora i zabrała Emmetta do pracy. W soboty sklep otwierano znacznie później, ale za to przed świętami był czynny aż do siódmej.

Ron znalazł w końcu trochę ciszy i spokoju i mógł dokończyć artykuł dla „Clariona”. Później był już wolny. Mógłby pojechać do Jeanne.

Zamiast tego zajął się wpisywaniem swojego dziennika do komputera. Jednocześnie nanosił poprawki i selekcjonował materiał. Pochłonęło mu to ładnych parę godzin. Jednak później, kiedy skończył pracować, a zmrok już na dobre okrył miasto, tęsknota odezwała się jeszcze silniej.

Chciał, nie, musiał zobaczyć Jeanne!

Może już skończyła pracę?

Może w ogóle jej nie miała i tylko się z nim drażniła.

Czy to możliwe, żeby zapomniała, co ich teraz łączy?

Jeśli tak, Ron postanowił, że jej o tym przypomni. Mniej więcej o szóstej usiadł za kierownicą swojego plymoutha i pojechał do Jeanne.

Zupełnie nie spodziewał się tego, że nagle, na tej małej, bocznej uliczce utkwi w środku korka. Samochody albo czekały potulnie na przejazd, albo wciskały się w każde wolne miejsce, żeby zaparkować.

Ron posuwał się powoli, planując, że zaparkuje na podjeździe Jeanne. Co najwyżej zablokuje paru jej klientów, ale później będzie mógł ich wypuścić. Okazało się jednak, że przy domu Jeanne jest najwięcej samochodów. Czyżby to ona była przyczyną korka?

Ron zaklął pod nosem. Miał ochotę nacisnąć pedał gazu i odjechać do jakiegoś baru z dobrym alkoholem i przyjemną żeńską obsługą. Jednak nie mógł tego zrobić. Nie po tym wszystkim, co przeżył z Jeanne.

Jeszcze raz spojrzął na dom. Coś tam się ewidentnie działo. Światła były pozapalane, a z wnętrza dochodziły dźwięki muzyki.

Ron podjechał kawałek, czując, że blokuje przejazd, a następnie skręcił gwałtownie, widząc wolne miejsce do zaparkowania. Omal nie porysował sobie drzwiczek samochodu o pień drzewa.

Rozzłoszczony przemierzył szybko tych kilkaset metrów dzielących go od domu Jeanne. Podeszedł do drzwi i zadzwonił, jednak nikt mu nie otwierał. Z wnętrza dobiegały wesołe okrzyki.

Zadzwonił jeszcze raz i jeszcze, w końcu drzwi otworzył mu jakiś młodzian z kolczykiem w uchu.

- Cześć, koleś. Coś sprzedajesz? - spytał, żując gumę.

Ron myślał, że trzaśnie go w tę beczelną gębę. Jeśli tego nie zrobił, to tylko dlatego, że młodzieniec miał blond włosy.

- Nie, koleś - rzucił Ron. - A ty może jesteś bratem Jeanne?

Chłopak pokręcił głową. Dopiero teraz Ron zauważył, że młodzieniec ma na sobie smoking.

- Czeka na ciebie czy coś takiego? - spytał chłopak i zrobił z gumy balon.

- Raczej coś takiego - odparł Ron i zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

Od razu zorientował się, że jest to przyjęcie albo coś w tym rodzaju. Wszyscy mieli na sobie oficjalne stroje i tylko on straszył bluzą i spodniami w kolorze khaki. W dodatku czuł się nieszczęśliwy, ponieważ nigdzie nie mógł znaleźć Jeanne.

Zauważył ją dopiero w momencie, kiedy stanęła obok niego.

- Ron, do licha, co ty tutaj robisz? Psujesz mi wszystko. Jasne, psuła jej zabawę! A przecież tak tęsknił! Tak chciał z nią być!

- Kim jest ten młody człowiek, który otworzył mi drzwi? - spytał przez zaciśnięte zęby.

- Nie mam pojęcia.

- Nie wykręcaj się - pogroził.

Spojrzała na niego uważniej, a potem nieoczekiwanie... pocałowała go prosto w usta.

- Och, Ron. Jesteś zazdrosny. To takie miłe.

- Wcale nie jestem zazdrosny - powiedział opryskliwie.

- Chciałbym tylko wiedzieć, co się tu dzieje i kim był ten blondyn, skoro to nie twój brat.

Jeanne tylko machnęła ręką.

- Naprawdę nie wiem. Mam tutaj bardzo wielu młodych ludzi, a także ich rodziców i wychowawców.

- Wychowawców? - powtórzył nieufnie.

- Tak, ze szkoły z Rigby. Właśnie robiłam im zdjęcia, kiedy wlałeś mi w kadr - dodała cierpko Jeanne.

Dopiero teraz zauważył, że sala balowa jest zbyt ekskluzywna jak na dom Jeanne i że znajdują się w jej pracowni, gdzie po bokach i na podwyższeniach stoi kilka aparatów fotograficznych.

- Widzisz, to prawdziwa kopalnia złota - tłumaczyła dalej Jeanne. -
Wszyscy rodzice zamawiają potem zdjęcia, a niektórzy nawet po kilka
odbitek dla krewnych.

Ron pokiwał głową. Przeszkodził tylko Jeanne w pracy. Dobrze, że
go od razu stąd nie wyrzuciła.

W pewnym momencie drzwi do pracowni otworzyły się ponownie i
stanął w nich Toby w wymiętej koszulce i czapce baseballowej. Ron
poczuł, że przybyła mu w tym towarzystwie bratnia dusza.

- Gdzie jest mój kij?! - krzyknął. - Nie mogę grać bez kija!

Nagle jego wzrok padł na Rona.

- Hej, Ronny! Chcesz zagrać?

- Jasne, stary!

Ron chwycił chłopca, podniósł go do góry i okręcił parę razy nad
sobą. Toby pisnął z radości. Jeanne wzięła aparat i pstryknęła kilka zdjęć.

Następnie Ron postawił chłopca na podłodze i wziął go za rękę.

- Chodź, pójdziemy stąd - zaproponował. - Nie będziemy
przeszkadzać mamie.

O dziwo, to zdarzenie miało zbawienny wpływ na uczestników sesji
zdjęciowej. Młodzi ludzie zapomnieli, że nie są na prawdziwym przyjęciu,
i zaczęli zachowywać się swobodnie i naturalnie. Dzięki temu
fotografowanie zajęło Jeanne niewiele ponad godzinę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Zdaje się, że tym razem ty musiałeś odespać - powiedział cierpko Emmett, kiedy Ron wreszcie pojawił się w kuchni.

- Przecież mamy niedzielę. - Ron usprawiedliwił się podobnie jak dziadek wczoraj.

Emmett nalał wnukowi kawy, po czym usiadł na swoim ulubionym krześle i powrócił do oglądania programu. Ron szybko się zorientował, że jest to „Wspaniałe życie”. Dziadek zawsze miał chrapkę na rolę Jimmy'ego Stewarta i nigdy nie tracił okazji, żeby skrytykować to lub owo w grze aktora.

- Dobrze się wczoraj bawiłeś? - spytał Emmett, patrząc znacząco na Rona.

Ron wydawał się go nie zauważać.

- Tak, świetnie bawiłem się z Tobym - odparł.

- Myślałem, że raczej z jego matką - rzucił od niechcienia Emmett. - Czy przynajmniej miałeś okazję spytać ją o moje zdjęcia?

Ron odstawił kubek i skinął głową.

- Odbitki będą gotowe po południu - poinformował dziadka. - Myślałem, że chcesz obejrzeć film.

Emmett machnął ręką.

- Szkoda czasu na tego partacza - mruknął. - Świetnie, że będą zdjęcia. Jestem umówiony wieczorem z Lenorą.

- Zdaje się, że dziś wieczorem i zawsze - pozwolił sobie na złośliwość Ron. - Czy nie byłoby lepiej, żebyście razem zamieszkali? Nie wydawalibyście tyle na benzynę.

- No nie wiem, nie wiem. - Emmett udawał, że się namyśla.
Potem nagle wykonał gwałtowny gest, jakby sobie o czymś przypomniał.

- Aha, przysługa za przysługę - dodał zaraz. - Był tutaj posłaniec z „Clariona”, więc dałem mu artykuł.

Ron aż poderwał się z miejsca.

- Którą dyskietkę?! Czerwoną czy żółtą?!

- Czerwoną, z napisem „Clarion” - powiedział z godnością Emmett.

Ron odetchnął i opadł wolno na swoje miejsce.

- Uff, to dobrze - stwierdził. - Na drugiej mam fragmenty mojego dziennika. To nie jest przeznaczone do publikacji.

Emmett parsknął śmiechem.

- To pewnie prawdziwy dynamit, co? - spytał kpiąco.

- Tobie może się to wydawać zabawne - powiedział Ron. - Ale nigdy wcześniej nie byłem zakochany i śledzenie tego, jak rozwija się uczucie, bardzo dużo mi dało.

Emmett ziewnął i powrócił do oglądania filmu, a Ron wstał, żeby po raz drugi nalać sobie do kubka kawy. Obaj zdziwili, się, słysząc głośne pukanie do drzwi.

- Ciekawe, kto może lekceważyć istnienie dzwonek elektrycznych?
- zastanawiał się, podchodząc do okna.

Ron nie miał ochoty na towarzyskie spotkania. Najchętniej zaszyłby się teraz w swojej sypialni.

- Kto to? - spytał.

- Ach, to ona! - powiedział rozbawiony Emmett.

- Co za ona?

- Catherine! - poinformował go Emmett. - Lepiej idź się ubrać.

Ron posłuchał rady. Kiedy się znowu pojawił, Emmett i Catherine zajmowali się już pakowaniem prezentów. Catherine przyniosła ze sobą nie tylko papier, ale również klej i nożyczki. Wyglądała zadziwiająco młodo i była bardzo podobna do Jeanne. Ron poczuł się jak wędrowiec w czasie, który odwiedził swój dom dwadzieścia pięć lat później i zastał w nim swoją żonę.

- No, jesteś już, śpiochu - mruknęła Catherine znad pakunków. W ustach miała kawałek taśmy klejącej i nie mogła mówić wyraźnie.

Ron przywitał się z matką Jeanne i też zabrał się do pracy. Okazało się, że Toby dostanie jednak sporo prezentów od różnych członków rodziny. W jednej z toreb znajdowała się także brązowa koperta. Ron natknął się na nią pierwszy.

- A to co? - spytał. - Może jakieś obrazki? Catherine pokręciła głową.

- Zupełnie zapomniałam! - wykrzyknęła. - To dla was od Jeanne.

Emmett wprawnym ruchem wydarł kopertę z rąk wnuka. Trzeba przyznać, że był jeszcze szybki, chociaż działał przez zaskoczenie. Ron od razu się domyślił, że są to zdjęcia Emmetta jako Świętego Mikołaja. Co prawda Catherine nic nie wiedziała o niecnym postępku Emmetta w tej roli, ale nie należało kusić losu.

- Ciekawe, co to takiego. - Catherine była nieco zdziwiona ich zachowaniem. - Pewnie jakieś zdjęcia.

- Tak, tak, Jeanne przyłapała Emmetta w pewnej intymnej sytuacji, a on bał się, że będzie go teraz szantażować - wyjaśnił pół żartem, pół serio Ron.

Catherine potrząsnęła głową.

- Moja córka nie jest taka - powiedziała z godnością.

Emmett odłożył zdjęcia wysoko na lodówkę i powrócił do stołu.

- Dobrze, weźmy się lepiej do pracy - zaproponował. - W przeciwnym razie nigdy nie skończymy tego pakowania.

Catherine przyjrzała mu się uważnie.

- Wiesz co, Emmett, kiedy tak to mówisz, to znowu mam wrażenie, że cię gdzieś wcześniej widziałam.

- Pewnie w jakiejś sztuce - rzucił zaniepokojony Ron. - Zaczniemy w końcu coś robić.

Wrócili do pracy, która, głównie dzięki Catherine, szybko posuwała się do przodu.

- Co dzisiaj porabia Jeanne? - spytał w pewnym momencie Ron. - Ma mniej pracy?

Catherine skinęła głową.

- Dzisiejszy dzień spędza u nas - wyjaśniła. - Rano przyjechał jej brat, a po południu mają wybrać się na wielką świąteczną paradę. Och, Ron, zaplanowaliśmy dla Jeanne wszystkie przedświąteczne dni, żeby nie była smutna. Dobrze jednak, że się pojawiłeś.

Ron był tego samego zdania.

- Tak, ja również się cieszę.

Catherine spojrzała na niego niezwykle przenikliwym wzrokiem.

- Ale mam nadzieję, że ją kochasz? Że wszystko będzie w porządku?

Ron nieco się speszył.

- Ja... no tak... Na pewno - odparł bez przekonania. Emmett natychmiast pospieszył z pomocą wnukowi.

- Tak, oczywiście, wszystko będzie dobrze! - powiedział tonem Świętego Mikołaja. - Wesołych świąt!

Przenikliwy wzrok Catherine przeniósł się na Emmetta.

- Ty!!! - krzyknęła.

- Ja? - spytał zdziwiony Emmett.

- Jasne, że ty - powtórzyła już nieco spokojniej Catherine. - To dlatego Jeanne nie chciała, żebyśmy się kontaktowali ze sobą. Najpierw siłą musiałam z niej wyciągnąć, co stało się tam w sklepie, a potem bez przerwy powtarzała, że to nic takiego i że to nie wina Świętego Mikołaja.

Catherine podeszła do lodówki i sięgnęła po leżące na niej zdjęcia.

- Jestem pewna, że to wyjaśni całą sprawę - powiedziała. - I na pewno nie ma tam nic nieprzyzwoitego. Pozwolicie, że otworzę - dodała tonem nie nawykłym do sprzeciwów.

Obaj mężczyźni spuścili uszy po sobie. Catherine otworzyła brązową kopertę. Wewnątrz znajdowała się jeszcze jedna, biała, opatrzona napisem „Ściśle tajne”.

- He, he, żarciki - powiedziała Catherine, mocując się z kopertą. - Wiesz, jakie zamieszanie powstało z powodu tego, co zrobiłeś? - zwróciła się do Emmetta.

Ron próbował ratować sytuację.

- Już wszystko załatwiliśmy z Jeanne - powiedział pośpiesznie.

- Tę sprawę powinien załatwić Święty Mikołaj - odparowała Catherine. - I to nie z Jeanne, a z samym zainteresowanym. Z Tobym!

Emmett zasłonił się rękami.

- Święty Mikołaj nie idzie na ustępstwa!

Oczom Catherine ukazało się zdjęcie przedstawiające Emmetta i Lenorę połączonych w namiętym uścisku.

- O... o, przepraszam - powiedziała nieco zdezorientowana Catherine.

- A więc jednak! - Spojrzała groźnie na Emmetta.

Przez moment nie wiedziała, czy przeproszać za wścibstwo, czy raczej wybuchnąć gniewem. Jednak ponieważ była osobą nie nawykłą do przeprosin, wybrała drugie wyjście.

- Zabieram zabawki, żebyście czegoś znowu nie popsuli - oświadczyła. - Włóżcie je do torby.

- Przecież nie wszystko zostało zapakowane - próbował protestować Ron.

Catherine była nieubłagana.

- Sami sobie spakujemy - powiedziała. - My, Potterowie, nie korzystamy z pomocy wrogów!

Kiedy wyszła, Emmett spojrzał bezradnie na wnuka.

- Trzeba coś było zrobić, Ron. Zatrzymać ją, czy ja wiem...

Ron tylko pokręcił głową. Nawet nie próbowałby czegoś takiego. Pomyślał, że teraz Catherine robi awanturę Jeanne. Przede wszystkim dlatego, że córka starała się zataić przed nią całą sprawę.

Przez następne dwie godziny zastanawiał się, jak najlepiej postąpić w tej sytuacji, ale nic mu jakoś nie przychodziło do głowy. Próbował dzwonić do Jeanne, jednak nikt nie odbierał, a bał się dzwonić do jej rodziców. W końcu, kiedy zadzwonił telefon, rzucił się jak lew, by go odebrać.

- Och, Ron, to ty? Dobrze, że jesteś! - usłyszał głos Jeanne.

- Cieszę się, że dzwonisz. Nie mam pojęcia, co zrobić.

- Przede wszystkim nie powinieneś próbować kontaktować się z moją rodziną - poradziła. - Zwłaszcza teraz, kiedy Andrew przyjechał i wszyscy chcą mu wyjaśnić, co się stało, cała sprawa odżyła na nowo.

Twarz Rona pociemniała. Czyżby znaczyło to, że nie spotkają się w czasie świąt?

- Czy Catherine miała do ciebie pretensje o to, że osłaniałaś Emmetta? - spytał.

- Trochę, ale przede wszystkim jest zła na Emmetta. Chodzi o to wyciąganie informacji od Toby'ego, podsłuchiwanie i sprawdzanie. Nic takiego by się nie zdarzyło, gdyby nie Emmett. Poza tym tak naprawdę nie wiemy, czy Toby rzeczywiście chciał dostać stację benzynową albo samochód.

Ron pomyślał, że wszystkie jego wysiłki, żeby załagodzić nieporozumienie, legły w gruzach. Co więcej, sprawa odżyła na nowo i kto wie, czy nie położy się cieniem na jego związku z Jeanne.

- Bardzo mi przykro - zdołał tylko wykrztusić.

- Mnie też. - Jeanne niemal płakała. - Andrew powiedział, że trzeba załatwić całą sprawę, i znowu zaczął wypytywać Toby'ego. Wszyscy go teraz przesłuchują, a mały nie rozumie, o co im chodzi. Myśli, że powariowali.

- Pewnie ma rację - rzucił Ron.

Na moment w słuchawce zapanowała cisza. Dopiero po chwili usłyszał naładowany wściekłością głos Jeanne:

- Jak śmiesz?! To twój dziadek, który myśli, że jest Świętym Mikołajem, zupełnie zszedł zmysły! To wszystko jego wina!

- Ależ Jeanne, nie po...

- A ja się w tobie prawie zakochałam! - przerwała mu. - Chciałam z tobą związać swoją przyszłość!

Czyżby znaczyło to, że już nie chce? Ron poczuł, że dzieje się z nim coś niedobrego.

- Właśnie! I tylko o tym powinniśmy myśleć.

- Nie, Ron. Ty wcale nie jesteś taki jak David. Właśnie tych porównań obawiał się najbardziej.

- Jasne, że nie! Jestem sobą i tylko sobą! - krzyknął. - I dlatego powinnaś podjąć decyzję, czy chcesz być ze mną, czy nie!

Jeanne płakała już na dobre. Chciała coś powiedzieć, ale nic jakoś nie przychodziło jej do głowy. W końcu wybąkała krótko: „pomyślę” i odłożyła słuchawkę. Ron jeszcze przez chwilę wsłuchiwał się w sygnał. Następnie spojrzął na zegarek i stwierdził, że najwyższy czas ruszać do sklepu. Zawołał dziadka, ale bez rezultatu. W końcu odnalazł go w sypialni. Emmett leżał na łóżku i patrzył w sufit.

- Musimy jechać - powiedział Ron.

- Nie mogę, nie czuję się na siłach - jęknął dziadek.

- Och nie, tylko nie kolejny kryzys. - Ron zacisnął pięści.

- Potterowie mnie nienawidzą. Bickel mnie nienawidzi. Nie mogę już być Świętym Mikołajem.

- Mówiłeś przecież, że wpłynęło jedyne zażalenie. - Ron próbował mówić spokojnie. - To powinno ci dać siłę do walki.

- Nie, to wystarczy - jęknął staruszek. - Pojedź do sklepu i powiedz Bickelowi, że rezygnuję.

- Może do niego zadzwonisz?

Emmett pokręcił słabo głową. Wyglądał tak, jakby znajdował się na łożu śmierci. Jednocześnie chwycił Rona za rękę.

- Będzie lepiej, jeśli ty mu to powiesz - szepnął. - I bardzo mi przykro, że zaszkodziłem twojemu związkowi. To jest przecież najważniejsze. Jeanne musi się przekonać, że naprawdę ci na niej zależy.

Ron nie miał czasu na dyskusje na ten temat. Zebrał się szybko i wyszedł do samochodu. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Emmett wstał z łóżka pełen energii i woli działania. Najpierw zadzwonił po taksówkę, a następnie wziął dwie rzeczy. Te, które stanowiły klucz do wszystkiego.

Ron wrócił do domu późno wieczorem i wściekły jak ranne zwierzę od razu pognął do sypialni. Jednak Emmetta tam nie było. Znalazł go dopiero w salonie. Dziadek siedział na bujanym krześle ze „Śmiercią komiwojażera” w dłoni.

- Wiedziałeś! - krzyknął Ron. - Wiedziałeś, że tak będzie!

- Tak, to znaczy jak? - zapytał Emmett, odkładając książkę.

- Wiedziałeś, że Bickel każe mi się przebrać za Świętego Mikołaja! Przecież nie mogli w ciągu paru minut znaleźć zastępcy!

- No i jak sobie poradziłeś?

To pytanie zaskoczyło Rona tak, że opadł na najbliższy fotel.

- Sam nie wiem - zastanowił się. - Nikt nie obrzucił mnie zgniłymi jajami.

- To już jest coś - zauważył Emmett. - A czy nie mógł cię zastąpić kuzyn Bickela?

Ron pokręcił głową.

- Nie. Jest w więzieniu, bo potracił kogoś po pijanemu. Emmett wyglądał na zdziwionego.

- No proszę!

- Lenora mówiła, że wszyscy w sklepie o tym wiedzą.

- Przykro mi, ale nie słucham plotek - powiedział Emmett. - Zresztą, prawdę mówiąc, stwierdziłem, że jednak wrócę do tej pracy. Bickel nie będzie musiał ściągać kuzyna z więzienia.

Ron potrząsnął głową.

- Nic z tego. Bickel zwolnił cię dyscyplinarnie!

- No, niech teraz spróbuje znaleźć zastępcę na trzy dni przed świętami. - Emmett zachichotał. - To wcale nie będzie takie łatwe.

Jednak Ronowi wcale nie było do śmiechu.

- Już znalazł - powiedział. - Mnie.

Telefon rozdzwonił się wcześniej rano w wigilię. Jeanne przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po szóstej.

- Kto znowu? - mruknęła i podniosła aparat z podłogi.

- Wesołych świąt - powiedziała, żałując, że nie wyłączyła go na noc.

- Tu Elaine, Elaine Rosetti - usłyszała głos w słuchawce.

Jeanne natychmiast się rozbudziła i usiadła na łóżku. Do diabła, czyżby Ron opowiedział Elaine o swoich kłopotach?!

- Tak, pamiętam. Poznałyśmy się podczas kuligu.

- Dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, że czytałam już „Clariona”.

- To świetnie, ale nie mam pojęcia, o co chodzi. - Jeanne ziewnęła.

- Rozumiem, więc to niespodzianka od Rona - domyśliła się Elaine.

- Przepraszam, ale nadal nic nie rozumiem.

- Chodzi o artykuł w „Clarionie”.

Jeanne przypomniała sobie, że Ron coś o tym wspominał.

- Pamiętam.

- Właśnie. Zdjęcie też mi się podobało. To, na którym Ron trzyma Toby'ego uniesionego do góry. Jest naprawdę pełne rodzinnego ciepła.

- Zaraz, nic nie wiem o zdjęciu.

- Przecież ty je zrobiłaś! - zdziwiła się z kolei Elaine.

- Cały artykuł jest o was. O waszej znajomości.

Jeanne poczuła, że robi jej się słabo.

- Czy... czy Ron wymienia moje nazwisko?

- Jasne! Jesteś sławna!

Jeanne drżącym głosem podziękowała za wiadomość i zapominając o kąpieli, zaczęła się ubierać. Hałasy obudziły chyba Toby'ego, ponieważ stanął zaspany w drzwiach jej sypialni.

- Muszę wyjść - poinformowała go. - Po gazetę.

- Przecież jest pod drzwiami - zdziwił się chłopczyk.

- Nie, nie, to inna gazeta. Z Minneapolis.

- Lepsza? - zaciekawił się Toby.

- Jest w niej twoje zdjęcie. Razem z Ronem.

Toby łaskawie pozwolił matce wyjść, ale „tylko na chwilę” - jak zaznaczył. Jeanne już wkładała buty, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Otworzyła je i stanęła twarzą w twarz z Emmettem.

- Pamiętaj, że nie zabija się posłańców - powiedział. Jeanne uśmiechnęła się krzywo.

- W każdym razie nie w wigilię. Proszę, wejdź. Emmett wszedł i od razu podał dwa egzemplarze „Clariona”. Toby porwał jeden i pobiegł do swojego pokoju.

- Przyszedłem, ponieważ jestem odpowiedzialny za całą sytuację - wyjaśnił Emmett, kiedy już przeszli do kuchni. - Zarówno za to, co się stało wcześniej, z Tobym - zerknął w stronę drzwi - jak również za ten artykuł. To nie jest to, co Ron chciał zamieścić w „Clarionie”, tylko fragmenty jego dziennika.

Jeanne oniemiała patrząc na starszego pana.

- A zdjęcie? - spytała jeszcze, jakby to było w tej chwili najważniejsze. Miała wielką ochotę zapomnieć o Emmecie i rzucić się do czytania „Clariona”.

- Znalazłem je z tymi moimi - wyjaśnił.

W tym momencie znowu zadzwonił telefon. Jeanne zastanawiała się chwilę, a następnie wyłączyła go i odłożyła na szafkę.

- Ron cię chyba zabije - stwierdziła.

- Na razie śpi jak dziecko. - Emmett uśmiechnął się szelmowsko. - O niczym nic nie wie. Byłem na tyle przezorny, żeby też wyłączyć telefon.

- Dlaczego to zrobiłeś? Emmett wskazał „Clariona”.

- Tylko po to, żebyś mogła uważnie przeczytać te wynurzenia, a potem podjąć decyzję - powiedział. - Ron czeka na nią. Zresztą, sama się przekonasz.

Podsunał jej egzemplarz gazety i wstał.

- Aha, jeszcze jedno - powiedział, stojąc już w progu. - Tak się składa, że nie pamiętam, jakie zabawki chciał Toby, ale pamiętam jego ostatnie życzenie. Również z tego względu powinnaś się dobrze zastanowić. Ron zastępuje mnie dzisiaj w sklepie.

Nowy Święty Mikołaj nie należał do szczególnie cierpliwych. Co i rusz zerkał na zegarek, jakby czekając, kiedy skończy się ta cała heca. W wigilię sklep zamykano o trzeciej.

Na szczęście tego dnia pojawiało się niewielu klientów. Nawet dzieciaki musiały zrozumieć, że jest już trochę za późno na świąteczne życzenia.

Tuż przed końcem pracy zauważył Jeanne, która z podobną determinacją jak za pierwszym razem zmierzała do bieguna północnego, gdzie urzędował Ron. Kiedy znalazła się przy nim, usiadła mu na kolanie.

- To ja, a nie Emmett - chrząknął Ron.

- Czy myślisz, że o tym nie wiem? - spytała Jeanne.

Z trudem powstrzymał się, żeby jej nie przytulić. Jeśli tak dalej pójdzie, to w sklepie dojdzie do kolejnej gorszącej erotycznej sceny.

- Skąd się tutaj wzięłaś? - spytał Ron.

- Emmett powiedział, że go zastępujesz - wyjaśniła. - Przyniósł też „Clariona” z twoim artykułem.

- No i jak ci się podobał? - Ron mimo przebrania czuł kształty Jeanne i bał się, że za chwilę będzie musiał ją posiąść tu, na biegunie północnym.

- Nie widziałeś go jeszcze?

- W gazecie? Nie, przyjechałem od razu do sklepu.

- Och, Ron. - Nie mogła się powstrzymać i pogłaskała go po rumianych od farby policzkach.

Ron z trudem przełknął ślinę.

- Ludzie zaczną gadać, Jeanne.

- Już gadają.

- To znaczy?

Pogładziła go po długiej, białej brodzie.

- Emmett dał do „Clariona” fragmenty twojego dziennika - wyjaśniła. - I zdjęcie, które zrobiłam tobie i Toby'emu.

Ron chciał się zerwać z miejsca. Opanował się jednak.

- O, nie!

- Nie denerwuj się - uspokoiła go. - To wcale nie jest takie złe. Dlatego przecież tutaj przyjechałam. Żeby dołączyć do grona wielbicieli twojego pisarstwa. Dlaczego mi tego wszystkiego nie powiedziałeś?

Ron pokręcił głową.

- Próbowałem, ale jakoś nie wychodziło...

- To prawda, nie chciałam cię słuchać - przyznała samokrytycznie Jeanne. - Myślałam tylko o Davidzie. Nie potrafiłam zrozumieć, że możesz być inny.

Ron objął ją delikatnie.

- Nie, to nie twoja wina - zapewnił. - Wszystko będzie dobrze. Tylko... tylko co z Emmettem? Potterowie nigdy go nie zaakceptują.

Jeanne przytuliła się do Rona, czując, jak łzy spływają jej po policzkach.

- Wiesz, Emmett pamiętał najważniejsze życzenie Toby'ego - powiedziała. - Przez cały czas miał nadzieję, że je spełni. Dlatego nie chciał niczego odwoływać.

- A co to za życzenie? - spytał Ron.

- Ty - padła odpowiedź. - To znaczy nowy tata.

Nagle połączył ich namiętny pocałunek. Kilkoro rodziców wraz z dziećmi przystanęło, żeby zobaczyć, co się dzieje. Stanley Bickel biegał dokoła i krzyczał: „Proszę państwa, zamykamy! Proszę państwa, zamykamy!” Ktoś na odchodnym odwrócił się i krzyknął w stronę Rona i Jeanne:

- Wesołych świąt!

- Wesołych świąt - odkrzyknęli po dłuższej chwili.